

# BESKID



NR 1 [74] GRUDZIEŃ 2017 ISSN 1426-6776



Pismo POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO Oddziału BESKID  
im. prof. Feliksa Rapfa w Nowym Sączu

WYPRAWA PTT

Mitologie na szczytach

# OD TRIGLAVA DO CASTORA

RELACJA Z WYPRAWY – CZYTAJ STR. 12

organizacja  
opp

DLA  
POLSKIEGO  
TOWARZYSTWA  
TATRZAŃSKIEGO

NUMER KRS  
0000343564



# NASZE WYCIECZKI 2017



21-22.01 – BIESZCZADY

FOT. KATARZYNA HEJMEJ



19.02 – TRZY KORONY

FOT. JOANNA DRYLA-BOGUCKA



12.3 – ŻELEŹNICA

FOT. ZBIGNIEW SMAJDOR



2.04 – BUKOWINA OBIDOWSKA

FOT. ZBIGNIEW SMAJDOR



4.06 – BORISOV

FOT. PIOTR POŁOMSKI



30.7 – JAGNIĘCY SZCZYT

FOT. ZBIGNIEW SMAJDOR



27.8 – SŁAWKOWSKI SZCZYT

FOT. EWA CIARACH



5.11 – CEGROV

FOT. JOZEF BARTKOWSKI

# Działalność Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział „BESKID” w Nowym Sączu w roku 2017

Był to 28 rok działalności Oddziału od jego reaktywowania w 1990 roku. Władze Oddziału pracowały w składzie wybranym podczas IX Walnego Zgromadzenia Sprawozdawczo – Wyborczego Członków, które odbyło się w dniu 8 kwietnia 2016 roku oraz uchwałą Nadzwyczajnego Zgromadzenia z dnia 4 listopada 2016 r.

## ZARZĄD

Wojciech Szarota	Prezes
Maciej Zaremba	Prezes Honorowy
Władysław Łoboz	Wiceprezes
Zbigniew Smajdor	Wiceprezes, p. o. sekretarza
Katarzyna Hejmej	Skarbnik
Joanna Bogucka-Jurasovic	Webmaster

Joanna Król	Członek
Łukasz Musiał	Członek
Józef Orlita	Członek
Stanisław Pałka	Członek
Agnieszka Szeliga	Członek

## KOMISJA REWIZYJNA

Marzena Lachor	Przewodnicząca
Lucyna Migacz	Sekretarz
Wiesław Słyś	Członek
Agnieszka Sznajder	Członek

## SĄD KOLEŻEŃSKI

Paweł Myślik	Przewodniczący
Jolanta Augustyńska	Zastępca
Iwona Kowalczyk-Tudaj	Sekretarz
Jadwiga Dąbrowska	Członek
Jerzy Jabłoński	Członek

Siedziba Oddziału mieści się w Biurze Podróży „Wakacyjny Raj” przy ul. Sobieskiego 14a/2, tel. 18 444-29-22

## Rok 2017 w liczbach:

Liczba członków Oddziału BESKID – 290 osób, które opłaciły składkę członkowską, w tym: 26 – SP Łabowa i 19 – SP nr. 18 Nowy Sącz.

W 64 imprezach oddziałowych PTT (wycieczki niedzielne, weekendowe i wyprawy) uczestniczyło 2089 osób.

KSE (Klub Szalonych Emerytów) – w wycieczkach śródowych i kilkudniowych, wzięło udział 2080 osób.

SGR (Sądecka Grupa Rowerowa) – w oficjalnych wycieczkach uczestniczyło 108 osób oraz w siedemdziesięciu nieformalnych około 500. Czyli łącznie 608.

Sekcja Biegowa – bieg górski na dystansie 43 km „Wielka Prehyba” w Szczawnicy ukończył 1 członek sekcji, a w II Biegu Kurierów wystartowało i bieg ukończyło 5 „naszych”.

W wycieczkach Szkolnych Kół PTT wzięło udział 426 uczniów.

W imprezach SUTW (Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku) uczestniczyło 222 seniorów.

Komisja Oddziałowa GOT PTT przyznała: Mała Brązowa Odznaka GOT PTT – 3, Mała Srebrna Odznaka GOT PTT – 11, Mała Złota Odznaka GOT PTT – 1, Duża Srebrna GOT PTT – 1, Ku Wierchom – 6, Korona Beskidów Polskich – 6, Główny Szlak Beskidzki – 1, Mały Szlak Beskidzki -1, Turystyczna Korona Tatr 23 (17 brązowych, 5 srebrnych i 2 złotych), odznaka „Szlak Tarnów – Wlk. Rogacz 15. Razem zweryfikowano 68 odznak.

## Koło Przewodników PTT

Koło Przewodników przy Oddziale „Beskid” Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego powstało 9 stycznia 1999 roku. Na zebraniu założycielskim do koła przystąpili wszyscy uczestnicy kursu przewodnickiego PTT, który odbył się w 1998 roku oraz przewodnicy o większym stażu a będący członkami, bądź sympatykami PTT. W późniejszym czasie odbył się drugi kurs przewodnicki, który wzbogacił nasze Koło o kolejne osoby.

Koło prowadzi aktywną działalność, polegającą na zaplanowaniu i prowadzeniu cotygodniowych wycieczek jedno i wielodniowych organizowanych przez nasz Oddział (program, kalkulacja kosztów, plakaty itp.). Wszystkie imprezy były prowadzone społecznie przez 24 przewodników: Groński Paweł 24, Król Joanna 15, Szarota Wojciech 10, Przybył-

ska Małgorzata 9, Smajdor Zbigniew 7, Zaremba Maciej 6, Musiał Łukasz 5, Cempa Robert, Dominik Maria, Kielbasa Paweł, Wczesny Wiesław, Małota Leszek 4, Kogut Paweł, Treit Marta, Zychowicz Michał, Mika Aldona, Jankowski Krzysztof, Gałda Jerzy, Wczesny Sławomir, Wczesny Wanda 2, Biernacki Robert, Jarek Aleksander, Pogwizd Tadeusz, Zychowicz Michał, Lipka Wojciech 1.

Członkowie naszego koła regularnie podnoszą swoją wiedzę uczestnicząc w szkoleniach organizowanych przez parki narodowe co jest warunkiem nabycia uprawnień umożliwiających oprowadzanie grup po: Pienińskim PN, Babiogórskim PN, Gorczańskim PN i Bieszczadzkiem PN. Raz w miesiącu odbywają się spotkania koła, gdzie omawiane są bieżące sprawy i planowane wycieczki oraz pozostała działalność naszego koła i PTT.

Małgorzata Przybylska w tym roku po dwuletnim kursie i ciężkim egzaminie zdobyła uprawnienia Przewodnika Tatrzańskiego. Ponadto jest w trakcie kursu na przewodnika międzynarodowego UIMLA.

Członkowie działają również w kołach powstałych przy PTT. Joanna Król organizuje i prowadzi sobotnie wycieczki dla dzieci ze Szkolnego Koła PTT w Łabowej i Szkoły Podstawowej nr 18 w Nowym Sączu. Natomiast Małgorzata Przybylska i Łukasz Musiał od 7 lat działają w Sądeckiej Grupie Rowerowej PTT. Kolega przewodnik Wojciech Szarota pełni funkcje prezesa ZG PTT oraz Oddziału w Nowym Sączu.

**ŁUKASZ MUSIAŁ**

## Dokonania klubów i sekcji PTT/O Beskid w 2017 roku oraz plany na 2018 rok

### Klub Szalonych Emerytów

W roku 2017 odbyło się 50 wycieczek, w których uczestniczyło 2080 osób, czyli średnio 42 osoby na wyjazd. Najciekawsze z nich to:

- Bieszczady – dwudniowa
- Wrocław i okolice – czterodniowa
- Wieliczka – kopalnia soli i miasto – jednodniowa

Szczególnym powodzeniem cieszyły się comiesięczne wyjazdy na siarkowe baseny termalne do Vrbova na Słowacji. W każdym z nich uczestniczyło 60-70 osób, zorganizowano 10 takich wyjazdów.

W dwudniowym wyjeździe w Bieszczady w dniach 28-29.06 uczestniczyło 55 osób. Zdobyliśmy najwyższy szczyt Bieszczad Tarnicę, dotarliśmy do źródeł Sanu, po drodze odwiedzając grób hrabiny Strońskiej w dawnej wsi Sianki, która istnieje już tylko po ukraińskiej stronie.

Do Wrocławia i nie tylko, wybraliśmy się w dniach 20-23 września. Poza Wrocławiem zwiedziliśmy Kościół Pokoju w Świdnicy, zamek Książ, Palmiarnię w Wałbrzychu, uzdrowisko Szczawno-Zdrój a także zamek w Mosznej oraz Górę św. Anny ze słynnym Sanktuarium.



Niezapomniana była również wycieczka do Wieliczki, gdzie zwiedziliśmy kopalnię soli i miasto z miejscowym przewodnikiem.

W marcu odbyła się wycieczka w Tatry Słowackie na Hrebienok, gdzie obejrzelśmy ciekawą wystawę rzeźb lodowych, myślę, że powtórzymy ten wyjazd również w 2018 roku.

Na sfinansowanie niektórych wyjazdów uzyskaliśmy łącznie 8 000 zł dotacji w tym:

- z Urzędu Miasta z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej 3000 zł
- od Fundacji Sądeczanin – 4 000 zł
- od PTT O/Nowy Sącz – 1 000 zł

Dotychczas wykorzystaliśmy 5 300 zł, pozostałą kwotę przeznaczylimy na wycieczkę do Zamościa i na Roztocze przewidzianą w 2018 roku.

Wycieczki najczęściej prowadzili przewodnicy: Leszek Małota, Staszek Pałka, Tadzio Boganow, Marysia Dominik, Staszek Fidowicz.

Warto podkreślić wyjątkową atmosferę na naszych wycieczkach, stanowimy osobliwą emerycką rodzinę, razem celebруем imieniny, zapraszamy się do naszych domów i spotykamy na wspólnych wyjściach w góry w mniejszych grupach także poza środą.

Oprócz działalności turystycznej, nasza grupa angażuje się społecznie. Czynnie pomagamy na organizowanych przez Fundację Sądeczanin imprezach: „Zjazd Sądeczan” i „Sądeczanin Roku”. W 2016 roku pomagaliśmy w akcji „Serce – sercu”, kompletując paczki świąteczne dla potrzebujących, tą działalność kontynuowaliśmy również w grudniu 2017 r.

Kilkunastu naszych członków zaangażowało się w wolontariat w ramach Fundacji „Sursum Corda”. Opiekują się osobami samotnymi z Nowego Sącza i okolic. Są to zawsze dwie dwugodzinne wizyty w miesiącu, na które bardzo czekają nasi podopieczni.

Co planujemy w 2018 roku?

Rozpoczęliśmy działania dotyczące wycieczek:

- trzydniowej w Bieszczady; mamy zarezerwowane noclegi w Domu Rekolekcyjnym w Ustrzykach Górnych w dniach 23-25 maja 2018 r.
- czterodniowej do Zamościa: potwierdzona rezerwacja w Internacie OHP w Zamościu w dniach 27-30 czerwca 2018 r.

Marzy nam się zwiedzenie Poznania i okolic oraz trzech stolic: Wiednia, Bratysławy i Budapesztu. Już czynimy starania dotyczące pozyskania środków na ten cel.

Na 2018 rok planujemy szereg wycieczek proponowanych przez naszych „szalonych emerytów”, chcemy bowiem spełnić ich marzenia.

Myślę, że uda się pospacerować podniebnym chodnikiem w koronach drzew w Bachledovej Dolinie na Słowacji czy odwiedzić Krosno i okolice.

Na pewno odbędzie się tradycyjny wiosenny wyjazd do Doliny Chochołowskiej na krokusy a latem wyprawy w Tatry, no a jeszcze zimą na Hrebieniok, żeby zobaczyć lodowe rzeźby.

W listopadzie odwiedzimy kolejne cmentarze z I wojny światowej a przez cały rok piękne zakątki w Beskidach, Gorcach i Pieninach.

Mamy wielkie ambicje, ale małe możliwości, zwłaszcza finansowe. Będziemy jednak podejmować działania, aby Klub Szalonych Emerytów stale się rozwijał, aby jego członkowie mogli poznać jak piękna jest Polska, no i może Europa. Czasu mamy coraz mniej, a planów coraz więcej. Jesteśmy pełni optymizmu, że spełnią się nasze marzenia. Oby tylko zdrowia i kondycji starczyło.

BARBARA MICHALIK

## Sekcja biegowa

W 2017 roku Sekcja Biegowa bardziej angażowała się w organizację imprez niż indywidualne starty w zawodach sportowych. Wybijającą się osobą był Sebastian Ciesielka, który ukończył wymagający bieg górski na dystansie 43 km „Wielka Prehyba” w Szczawnicy, maraton (42,195 km) w Budapeszcie oraz Bieg Niepodległości na dystansie 10 km w Rytrze.

Podobnie jak w latach poprzednich nasza sekcja była współorganizatorem dwóch imprez: majowej” Run 4 a smile” oraz sierpniowej „II Bieg i Rajd Kurierów Sądeckich”.

Run 4 a smile to charytatywny bieg, którego głównym organizatorem jest WSB-NLU, zaś PTT od samego początku wspiera tę imprezę. IV Run 4 a smile przyczynił się do zbior-



ki rekordowej kwoty 9800 zł, w całości przeznaczonej na leczenie podopiecznego fundacji Sursum Corda.

Przy organizacji biegu pomagali: Izabela Berezińska, Agnieszka Szeliga, Jolanta Rachwał, Małgorzata Biernacka, Maciej Augustyński, Robert Mrowca, Robert Biernacki, Łukasz Mikulski i Jolanta Augustyńska. Szczególne podziękowania należą się sponsorom biegu – Marzenie i Markowi Limanówkom.

Drugą sztandarową imprezą współorganizowaną przez biegaczy spod sztandaru PTT, był II Bieg i Rajd Kurierów Sądeckich. Organizacją biegu zajmowali się Jolanta Augustyńska, Robert Biernacki, przy dużym wsparciu i zaangażowaniu Małgorzaty i Pauliny Biernackiej oraz Agnieszki Szeligi.

Organizatorami Biegu i Rajdu Kurierów było Stowarzyszenie Visegrad Maraton Rytro oraz Oddział „Beskid” PTT. W naszym oddziale trud organizacyjny spoczął na barkach Jolanty Augustyńskiej, Małgorzaty, Pauliny i Roberta Biernackich oraz Agnieszki Szeligi. II Rajd Kurierów prowadzili przewodnicy PTT: Paweł Groński, Tadeusz Pogwizd i Maciej Zaremba. Natomiast w II Biegu Kurierów wystartowali i bieg ukończyli: Lilianna Nazimek, Piotr, Krzysiek i Maciek Augustyńscy, oraz Adam Szeliga.

W Mikołajki, zgodnie z zapowiedzią, odbyło się zebranie Sekcji Biegowej. Szefową została wybrana ponownie Jolanta Augustyńska. Na spotkaniu omawialiśmy aktualne plany tak startowe jak i organizacyjne.

Bez wątpienia najważniejsze wyzwania organizacyjne będą podobne jak w latach minionych: V Run 4 a smile oraz III Bieg i Rajd Kurierów. Na bieżąco będziemy informować o tych wydarzeniach.

Postanowiono, że wspólne treningi będą, tak jak dotychczas, w poniedziałki o godzinie 19, start pod Mc Donaldem, w zależności od jakości powietrza biegamy na stałej trasie lub wyjeżdżamy poza miasto. Biegamy w tempie do-

stosowanym do wszystkich uczestników, W poniedziałki nie robimy życiówek! Serdecznie zapraszamy wszystkich chętnych!

Jolanta Augustyńska jako Ambasador Festiwalu Biegów posiada możliwość zapisu z 30% zniżką na wszystkie biegi w trakcie Festiwalu Biegów w Krynicy – wszystkich chętnych zapraszam do kontaktu.

Bieżące informacje są udostępniane na facebooku, w grupie – PTT O/Beskid Sekcja Biegowa. Zapraszamy wszystkich chętnych!

## Sekcja wysokogórska

W niedzielę 03-12-2017 w schronisku na Markowych Szczawinach odbyło się zebranie Sekcji Wysokogórskiej PTT. Sekcja istniała „od zawsze” ale chcemy nadać jej nieco formalności. Szefem wybrany został Stanisław Papciak.

Założenia są takie, iż w grupie wspieramy się, pomagamy sobie, dzielimy się doświadczeniem, natomiast wychodzimy na własną odpowiedzialność, każdy posiada własne odpowiednie ubezpieczenie! Wyjścia górskie, prowadzone w ramach Sekcji są wyjściami PARTNERSKIMI i w małych zespołach.

Bieżące informacje są udostępniane na facebooku, w grupie – PTT O/Beskid Sekcja Wysokogórska.

**JOLA AUGUSTYŃSKA**

## Sądecka Grupa Rowerowa

W dniu 7 grudnia 2017 r. odbyły się wybory na nowego kierownika grupy. Została nim Aldona Mika. Gratuluję! Do tej pory grupą opiekowaliśmy się razem z Łukaszem Musiałem.

Myszę, że po 7 latach działalności czas na podsumowanie. Były rzeczy dobre i mniej dobre, ale mamy się czym pochwalić.

Zacznę od statystyk.



Przez 7 lat na 102 „oficjalnych” wycieczkach przejechaliśmy z nami ponad 1000 osób.

Wycieczek „nieoficjalnych” tylko w tym roku było ponad 70 i wzięło w nich udział ponad 500 osób.

Jakie były początki SGR?

W 2011 roku Łukasz wpadł na pomysł założenia Sekcji Rowerowej przy Polskim Towarzystwie Tatrzańskim Oddział w Nowym Sączu. W marcu 2011 roku odbyło się spotkanie założycielskie na którym wybraliśmy nazwę grupy „Sądecka Grupa Rowerowa”. Kilka miesięcy później zaprojektowałam logo, które mamy do dzisiaj. Kilka razy udało się nam zakupić (najtańszym kosztem z Lidla) koszulki rowerowe i zrobić nadruk.

Przez pierwsze lata działalnością SGR zajmował się głównie Łukasz Musiał. Zaczęłam mu pomagać po 2 latach, powoli przejmując jego obowiązki. Jednak cały czas działaliśmy razem.

Od samego początku jeździmy na rowerach MTB głównie po górach. Jeździliśmy głównie po Polsce i Słowacji. Odbyły się także trzy wycieczki rowerowe w Góry Rumunii. Gdzie już jeździliśmy:

- kilka razy przejeżdżaliśmy Karpaty Rumuńskie (Maramuresz, Góry Retezat, Góry Rodniańskie, Region Bucegi, Bukowina, Góry Cernei),
- Kilka razy w roku wyjeżdżaliśmy na 1-4 dni w góry Słowacji (Tatry Wysokie, Tatry Zachodnie, Tatry Niżne, Cergov, Góry Lubowelskie, Lubowniańska Wierchowina, Góry Choczańskie, Słowacki Raj, Bieszczady Słowackie – Wyhorlat),
- W kraju: współudział w Krynickim Rajdzie Rowerowym, przejazd Green Velo, Velo Wisła, Velo Dunajec, Beskid Śląski, Beskid Żywiecki, Gorce, Beskid Wyspowy, Beskid Niski, Bieszczady, Pieniny, Karkonosze.
- Niektóre imprezy przybrały postać wyjazdów cyklicznych, m. in.: sześciokrotne „wypadki w Beskid Niski” w ostatni weekend sierpnia, trzykrotne w Góry Rumunii, trzykrotne „wokół Tatr” i dwukrotne – do Tatr, no i oczywiście corocznie rozpoczęcie i zakończenie sezonu.
- Braliśmy udział w różnych rajdach: dwukrotnie w Kameralnym Polsko-Słowackim Rajdzie Rowerowym „Pętla Popradu”, Rajdzie „Grybów i okolice”, Rajdzie Podkowca, Rajdzie Nietoperza.

Dla wielu z nas wycieczki weekendowe to było za mało. Więc zaczęliśmy się umawiać prywatnie w tygodniu. Po kilku latach było nas tak dużo, że umawialiśmy się 2 razy w tygodniu, a od tego roku 3 razy (poniedziałki, środy, piątki). Punktem startowym jest centrum Nowego Sącza, ale zawsze wyjeżdżamy poza jego granice. Naszym celem są okoliczne góry, pagórki i miejscowości w odległości do 30 km od Nowego Sącza. Najczęściej jednak jeździmy po Beskidzie Sądeckim, Niskim, Wyspowym i okolicznych pogórzach.

Nieobce jest nam to co się dzieje w tematyce ścieżek rowerowych w Nowym Sączu. Trzy razy uczestniczyliśmy w „Masie Krytycznej”. (Inicjatywa zreszta ludzi, którzy upo-



minają się o bezpieczne ścieżki i drogi dla rowerów w Nowym Sączu i okolicy).

Od samego początku nie zamykaliśmy się na innych. Stąd piątki „dla wszystkich” czy grupa otwarta na Facebooku. Rozmawialiśmy z Wami, wysłuchiwalismy sugestii. Staraliśmy się, aby każdy pomimo różnych potrzeb znalazł w SGR możliwość ich realizacji i dobrze się z nami czuł.

Staraliśmy się przed każdą wycieczką podać stopień trudności i plan trasy, aby każdy mógł zdecydować czy da radę.

Wszystko robiliśmy non-profit. Przewodnik ponosił dokładnie takie same opłaty jak pozostali uczestnicy. To wszystko z miłości do gór i rowerów. I dlatego, że nie lubimy jeździć sami. Fajnie jest zarażać pasją.

W październiku tego roku Nowosądecka Izba turystyczna doceniła nasz wkład w rozwój turystyki rowerowej przyznając nam nagrodę „Sądecki Laur Turystyczny”.

Z Łukaszem pragniemy podziękować każdemu, kto przez te lata znalazł czas i chęci, żeby poprowadzić wycieczkę czy włączyć się w działalność SGR.

Jest wiele rzeczy zaczętych, które teraz przejmie Aldona. Kilka dni temu stworzyłam na papierze firmowym pismo w sprawie sponsoringu profesjonalnych koszulek rowerowych dla SGR. Zaczęliśmy także szukać sponsorów.

W imieniu swoim i Łukasza. Dziękujemy!

**MAŁGORZATA PRZYBYLSKA**

## Wycieczki dla Sądeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku

W 2017 roku nowosądecki Oddział PTT kontynuował współpracę z SUTW, organizując dla jego słuchaczy i sympatyków wycieczki górskie i krajoznawcze. Odbyło się 8 wycieczek, w których wzięło udział 222 uczestników. Były to:

**22.02.2017 – Cyrla** – 13 uczestników. Przewodnikiem był Maciej Zaremba

**30.04.2017 – Niedziela Palmowa.** Udział w konkursie palm w Jodłowniku a następnie zwiedzenie zamku w Nowym Wiśniczu i kościoła w Gnojniku. 55 uczestników. Przewodnicy: Wiesław Wcześny i Sławomir Wcześny

**3.05.2017 – Majówka na Kuminowieckiej Górze.** Przejście Nowosądeckim Szlakiem Spacerowym PTT Z Dąbrowskiej Góry przez Kuminowiecką Górę do Librantowej. Na Kuminowieckiej Górze odbyło się ognisko. 10 uczestników. Przewodnik: Maciej Zaremba

**18.06.2017 – Majdan.** Zakończenie Roku Akademickiego. Po zwiedzeniu kościółka w Dąbrowce, przejście Nowosądeckim Szlakiem Spacerowym PTT na Majdan. Po drodze odbyło się ognisko. 10 uczestników. Przewodnik Maciej Zaremba

**15.07.2017 – Brama Sądecka.** Zwiedzenie kościoła i pustelni św. Świerada w Tropiu, zamku w Tropiszynie oraz rynku i kościoła w Czchowie. Podczas tej wycieczki odbyło się wręczenie nagrody dwu-tysięcznemu uczestnikowi imprez organizowanych przez PTT dla SUTW. Albumy otrzymały: słuchaczka uniwersytetu Teresa Rogoń i sympatyczka Lucyna Fałowska. W wycieczce wzięło udział 36 uczestników. Przewodnicy: Wiesław Wcześny, ks. Stanisław Pietrzak, Wanda Wcześny i Paulina Kumorek

**30.09.2017 – Most Stacha i Szlak Suszonej Śliwki.** Zwiedzenie Yacht Clubu PTTK i Mostu Stacha w Znamirówicach, kościoła w Tabaszowej, kościółka św. Justa na Juście oraz kościoła i drewnianego kościółka w Iwkowej, kościoła i Muzeum Regionalnego w Wojakowej. 58 uczestników. Przewodnicy: Wiesław Wcześny, Sławomir Wcześny i Joanna Piechowicz.

**11.11.2017 – Kuminowiecka Góra.** Przejście z Nowego Sącza Szlakiem Spacerowym PTT, przez Januszową i Libran-

ową na Kuminowiecką Górę gdzie odbyło się ognisko. 24 uczestników. Przewodnicy: Wanda Wcześny, Wiesław Wcześny i Łukasz Musiał. Była to 100 wycieczka organizowana przez PTT dla SUTW. Wszyscy uczestnicy tej wycieczki otrzymali honorowe dyplomy.

**10.12.2017 – Szcząb.** Przejście Nowosądeckim Szlakiem Spacerowym z Trzetrzewiny przez Szcząb do Chełmca. Po drodze odbyło się ognisko. 16 uczestników. Przewodnik Maciej Zaremba

Współpraca PTT z SUTW trwa od 2004 roku. Zainicjował ją Wiesław Wcześny. Jest on organizatorem wszystkich imprez i przewodnikiem na większości z nich. Ogółem podczas 14 lat odbyło się 101 imprez i wzięło w nich udział 2190 uczestników.

MACIEJ ZAREMBA

## Młodzieżowe Koła PTT

**1** Szkolne Koło PTT przy SP. nr. 18 im. Karola Szymanowskiego w Nowym Sączu. W 2017 roku byliśmy na czterech wycieczkach: w Zakopanem na Gubałówce, Ciężkowicach – Muzeum Przyrodnicze i rezerwat „Skamieniałe Miasto”, na Radziejowej oraz w Starej Lubowni. W każdej wycieczce brało udział ok. 40 uczniów pod opieką nauczycieli Marii Olszyńskiej i Wiesławy Górskiej. Wycieczki prowadzili przewodnicy PTT: Wojciech Lippa, Wojciech Szarota, Joanna Król i Maria Dominik. W nowym roku chcemy zdobywać kolejne szczyty i poznać ciekawe miejsca w których jeszcze nie byliśmy.

WIESŁAWA GÓRSKA







**2.** Szkolne Koło PTT przy Zespole Szkolno-Gimnazjalnym w Łabowej. Zrzesza 26 członków oraz kilkunastu sympatyków górskich wędrówek, którzy przygotowują się do członkostwa. Wycieczki i wyprawy odbywają się w dni wolne od nauki, czyli w soboty i niedziele. W 2017 roku odbyło się osiem wycieczek:

- styczeń – Pogórze Rożnowskie (kulig)

- luty – Wielki Kopieniec – Tatry
- marzec – Magurki – Gorce
- maj – Luboń Wielki – Beskid Wyspowy
- czerwiec – Wysoka – Pieniny
- wrzesień – Czarny Staw Gąsienicowy
- listopad – Bacówka nad Wierchomlą
- grudzień – Pieniny (dwudniowa)

Organizacją wycieczek zajmuje się Joanna Król – przewodnik beskidzki wraz z opiekunkami Koła: Dorotą Rolką i Bożeną Świgut. Ponadto pani Świgut prowadzi fotorelacje w zakładce szkolnej strony internetowej.

Członkowie koła mają możliwość poznania walorów krajobrazowych i przyrodniczych Beskidów i Tatr. Zdobywają odznaki i wyróżnienia. Biorą udział w konkursach wiedzy. Aktywnie spędzają czas i wzmacniają relacje koleżeńskie. W tym roku nad Czarnym Stawem Gąsienicowym uczczono piątą rocznicę działalności koła. Z tej okazji aktywni członkowie koła otrzymali upominki. Ponadto Zarząd PTT o/ Beskid w Nowym Sączu wyróżnił 7 uczniów odznaką „Ku wierchom”. Rodzeństwo Daria i Olgierd Kołaczowie zdobyli „Koronę Beskidów”. Natomiast prezes koła Dorota Rolka została nagrodzona Złotą Odznaką PTT za pracę z młodzieżą.

Zakończenie roku i podsumowanie działalności koła nastąpiło 16 i 17 grudnia w Sromowcach Niżnych podczas wyjątkowej wycieczki połączonej z wigilią.

W nadchodzącym 2018 roku zaplanowano:

- w dalszym ciągu rozwijać turystykę rodzinną,
- powołać sekcję reklamową koła,
- wyposażyć uczniów w jednakowe polary i koszulki,
- wznowić możliwość zdobycia Korony Beskidów dla nowych członków koła.

**DOROTA ROLKA**



## LUDZIE

Polskie Towarzystwo Tatrzańskie

# Poznaj naszych przewodników

*...Dla Pawła Gronskiego wycieczka na Cergov była 50-tą poprowadzoną społecznie dla naszego oddziału. Patrząc na dokonania naszych wybitnych przewodników, którzy mają na swoim koncie ponad 200 poprowadzonych wycieczek, może to się wydawać skromną liczbą. Jednak fakt, że Paweł dokonał tego w ciągu 16 miesięcy od złożenia ślubowania przewodnickiego musi imponować. Gratulujemy i życzymy dalszych przewodnickich sukcesów... – napisał na stronie pttns.pl Zbyszek Smajdor.*



**N**ie może więc zabraknąć na łamach „Beskidu” wywiadu z tym najbardziej aktywnym w ostatnim roku przewodnikiem PTT. Jest lubiany i ceniony za naturalność, wykonywanie obowiązków przewodnickich z ogromną pasją i gotowość brania na siebie społecznego obowiązku prowadzenia wycieczek prawie co niedzielę. Paweł, czekamy na Twoją 100-ną wycieczkę!

### Skąd się wzięło Twoje zainteresowanie górami?

– Góry były dla mnie ważne od zawsze. Od najmłodszych lat, każda niedziela roku wyglądała podobnie. Mianowicie o 7.30 msza w kościele, po powrocie rosół z makaronem, a następnie wraz z tatą spacer przed obiadem po okolicznych górkach, leżących nad Ka-

mienicą, Kamionką, Piątkową. I tak co tydzień, niezależnie od pogody nasz rytuał powtarzał się niezmiennie. Można powiedzieć, że miłość do gór mam wszczepioną od najmłodszych lat, dzięki kilku osobom takim jak Staszek Pałka, Zbyszek Smajdor, a przede wszystkim dzięki mojemu tacie Olkowi.

### Twoje pierwsze szczytowanie: ile miałeś lat i jaką zdobyłeś górę?

– Moje pierwsze wyjście na szlak turystyczny to trasa z Rytra na Przehybę, więc można ten szczyt uznać jako pierwszy (nie wliczając Niedzielnych spacerów wokół Nowego Sącza), miałem wtedy 10 lat.

### Jakie pasma górskie oraz ciekawe i egzotyczne miejsca do tej pory odwiedziłeś?

– Generalnie moje chodzenie skupiło się bardziej na Beskidach. Najbardziej lubię Gorce, Pieniny i Bieszczady. Na pewno góry u naszych sąsiadów Słowaków są przede mną również bardzo chętnie odwiedzane.

### Jak wysoko już byłeś w górach?

– Najwyżej do tej pory byłem na Rysach, może nie jest to wynik jakiś niesamowity, ale warto przy tym wspomnieć, że była to moja pierwsza wycieczka w Tatry, wdrapałem się tam mając 11 lat.

### Co daje ci tak aktywne życie i ciągłe obcowanie z ryzykiem?

– Wolność! Mimo wysiłku jaki za każdym razem wkładam w wędrówkę górską, po powrocie do domu jestem wypoczęty. Wypoczęty wewnątrz siebie. Podczas wędrówki żyję chwilą, zosta-

wiam za sobą to co było, co jest i nie myślę o tym co będzie. Coraz częściej zapuszczam się w nieznane, poza szlaki i drogi. Lubię czasem położyć się na polanie, zamknąć oczy i nie myśląc o niczym leżeć... tylko ja i góry.

### **Jakie podróże i wyprawy planujesz w przyszłości?**

– Moje chodzenie po górach głównie opiera się na wycieczkach organizowanych przez PTT Nowy Sącz. Wyjazdy prywatne są przeważnie spontaniczne i nie planuję ich z dużym wyprzedzeniem. Na pewno nadal będę chciał poznać nasze Beskidy, które dla mnie są najpiękniejsze. Jest jednak coś, co chodzi mi po głowie od dłuższego czasu, mianowicie Alpy, a co za tym idzie zdobycie „kiedyś” ich najwyższego wierzchołka, czyli Mont Blanc.

### **Opowiedz o swojej drodze zdobycia uprawnień przewodnickich**

– Wszystko zaczęło się trochę zabawnie i szybko. To, że chciałem zostać przewodnikiem wiedziałem już od dawna, czekałem tylko, aż ktoś w Nowym Sączu zorganizuje kurs, który jest wymagany by przystąpić później do egzaminów. I tak, za sprawą mojej koleżanki Basi, całkiem przypadkiem dowiedziałem się o rozpoczynającym się na dniach kursie w PTTK w Nowym Sączu. Na drugi dzień poszedłem już na pierwsze spotkanie kursantów. Potem ponad rok nauki, najpierw teoria potem praktyka na terenach przyszłych uprawnień. Po przejściu 40 wycieczek, otrzymałem dokument ukończenia kursu, dzięki któremu mogłem przystąpić do egzaminów państwowych. Egzamin zdawałem w kwietniu 2016 roku i był to pierwszy egzamin na nowych warunkach, czyli od razu na cały obszar Beskidów a nie jak to było wcześniej podzielone na trzy części. Teren do nauki większy, ale odpadło dużo innych rzeczy jak np. miasta czy pogórza. Sam egzamin trwał 3 dni. Pierwszego dnia test pisemny, po jego zaliczeniu dopuszczony zostałem do egzaminu ustnego.

Po tym wszystkim przychodził egzamin w terenie trwający dwa dni. Na samym końcu były podawane wyniki.

### **W jakie rejony najczęściej jeździsz jako przewodnik komercyjny?**

– Nie prowadzę wycieczek komercyjnych. Robiąc przewodnika nie myślałem nigdy o tym, żeby na tym zarabiać. Czuję, że wtedy góry już nie byłyby dla mnie taką pasją jak są teraz i przestałbym czerpać z tego tyle przyjemności. Raczej to taka wisienka na torcie, dla własnej satysfakcji. Dlatego chętnie prowadzę jedynie społecznie wycieczki dla PTT z Nowego Sącza. Zawsze jest wesoło, rodzinnie, z ludźmi, dla których chodzenie po górach jest taką samą pasją jak dla mnie.

### **Od kiedy należysz do PTT, opowiedz o swoich dokonaniach w tej organizacji, wycieczkach i wyprawach, które poprowadziłeś.**

– Do PTT należę od 2001 roku. Mimo młodego wieku staż mam całkiem dobry. Przez te wszystkie lata bardzo często jeździłem na wycieczki, zwłaszcza na wakacyjne Tatry. Dzisiejszy Klub Szalonych Emerytów to grupa ludzi, z którymi ja zaczynałem swoje poznanie gór. Od kilku lat angażuję się w działalność PTT starając się pomagać /m. in w redagowaniu eBeskidu (p. red)/. Odkąd zostałem przewodnikiem poprowadziłem ponad 50 wycieczek społecznie dla Oddziału i na tym mam nadzieję nie zakończę. Patrząc z perspektywy czasu, widać coraz większe zamiłowanie do gór, pamiętam wycieczki na których bywało po kilka osób, a aktualnie w wyjazdach uczestniczy przeważnie kilkadziesiąt ludzi. W roku 2005 zdobyłem odznakę GOT PTT w stopniu Duża Złota, a w roku 2014 przyznano mi uprawnienia Przewodnika GOT PTT.

Rozmawiała MARIA DOMINIK



## WYPRAWA PTT

# Od Triglava do Castora czyli mitologie na szczytach

W dniach 15 do 30 lipca 2017 roku kolejny raz odbyła się wakacyjna wyprawa Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddział Beskid w Nowym Sączu pod hasłem: „Od Triglava do Castora czyli mitologie na szczytach”.

Triglav to wczesnośredniowieczne bóstwo pogańskie, które miało na tym szczycie swoją siedzibę. Było to bóstwo wody, ziemi i podziemi. Natomiast Kastor to jeden z Dioskurów, argonauta, syn Zeusa i Ledy żony króla Sparty. Jest

to również jeden z dwóch bliźniaczych szczytów w Alpach Pennińskich w grupie Breithorna. Drugim szczytem jest bliźniak Pollux. Szczyty te są położone na pograniczu włosko – szwajcarskim w masywie Gemelli (Zwillige). **Sam tytuł tej wyprawy miał już dość zuchwały wydźwięk, choćby z powodu zmienności pogody w wysokich górach. Ale jak się ostatecznie okazało zuchwałość się opłaciła. Oczywiście w programie mieliśmy również Alpy Apuańskie, Alpy Nadmorskie no i Dolomity ze swoimi ferratami.**

## ALPY JULIJSKIE – TRIGLAV

Po wyjeździe z Nowego Sącza, dość sprawnie już rano zameldowaliśmy się w Słowenii, skąd do Mojstrany tylko kilkanaście kilometrów. Z Mojstrany jeszcze tylko 11 km bitej drogi do schroniska Aljažev Dom, gdzie mieliśmy mieć nocleg po zejściu z Triglava. **Po drodze odwiedzamy widoczny z drogi dojazdowej wodospad Pericznik, aby zrobić mu zdjęcie w porannym słońcu. Po domówieniu noclegów dla kierowców w Aljažev Dom, wyruszamy całą 26 grupą w stronę Triglavskiego Domu. Większość szlakiem-ferratą Tomiszkovą Pot, Marysia Dominik zabiera parę osób na szlak Przez Próg.** W Słowenii to między innymi dwa szlaki, które były elementem walki między organizacjami turystycznymi austriackimi a słoweńskimi, podobnie jak to miało miejsce pod Babią Górą w XIX wieku. Pogoda stawała się coraz lepsza, powoli ukazywały się wszystkie szczyty w otoczeniu Triglava, no i oczywiście jego północna ściana. Powoli, mając duży zapas czasu, wspinaliśmy się z wysokości ok 1000 m n.p.m. na wysokość ok. 2515 m n.p.m. na której znajduje się Triglavski Dom na Kredarici.



W drodze na Triglava



Wojciech i Waclaw Szarota na szczycie Triglava

Schodzący turyści opowiadają nam o tłumach, które wczoraj i dziś wchodziły na Triglava, ale pocieszają nas, że nam pogoda wyjątkowo sprzyja i tłumy też jakby mniejsze. Poruszamy się początkowo równoległe z młodymi uczestnikami wyprawy adventures z Bułgarii, którzy w zasadzie towarzyszyć nam będą do końca następnego dnia. Zakwaterowanie mamy w pokoju do którego należy przejść przez dwa pokoje!. Łóżka są dość małe, mnie się trafiło pod skosem dachu obok swojego brata, którego w nocy, aby wyjść do ubikacji muszę obudzić. Centrum towarzyskie mieściło się w jadalni schroniska, gdzie spędzamy dość dużo czasu. Następnego dnia wyruszamy na Triglava szlakiem przez Mały Triglav, choć niektórzy rezygnują po niezbyt wygodnej nocy. Zamykając grupę wchodzących, osiągam Triglava po około godzinie i 15 minutach, czyli w czasie przewidzianym w przewodnikach. **Na górze wszyscy z PTT w euforii po zdobyciu szczytu, który w tak piękny dzień oferuje rozległe, dookólne widoki na Alpy. Widać Jezioro Bled i Bohinjskie, widać Grossglocknera, Dolomity, Mangart no i oczywiście pobliską Szkrłatycę. Wszyscy robią zdjęcia obok Aljažev Slapu, czyli żelaznego kiosku wieńczącego szczyt.** Sprawnie schodzimy do schroniska, by po krótkim odpoczynku rozpocząć drogę powrotną przez Prag do schroniska Aljažev Dom. Tam w godzinach popołudniowych czeka nas miła niespodzianka – kierowcy, a w zasadzie Pani Maria Najduch, częstują każdego schodzącego gorącym żurkiem z kiełbasą. Nikogo nie opuszcza euforia po pięknie przeżytym dniu. Dla mnie to już drugie spotkanie z Triglavem, ale jest wiele osób, które były tam pierwszy raz i malowniczość tego masywu, wspaniałe widoki ciągle jeszcze wprawiają w górski zachwyt i niemałą satysfakcję. Sam muszę sobie zmniejszyć obwód paska od spodni, co znaczy że parę kilogramów zostało po drodze. Kolejnego dnia wyjeżdżamy dość wcześnie. W Mojstranie robimy pierwsze i ostatnie zakupy w markecie w Słowenii. Czeką nas ok 450 km przejazd do Villi Colemandiny.



Pania della Croce 1858 m n.p.m.

## TOSKANIA I ALPY APUAŃSKIE

W godzinach popołudniowych zatrzymujemy się w Modenie w mieście drugim po Bolonii w rejonie Emilii Romagnii. To tutaj zaczynają się Apeniny. Odwiedzamy Piazza Grande z katedrą romańską, dzwonnica i siedzibą władz miejskich, oglądamy Palazzo Ducale /pałac książęcy/ w którym od 1678 r. mieści się pierwsza na świecie Akademia Wojskowa. Ukończył ją Edmundo de Amicis czy Muammar Kaddafi!.

To miasto fabryk samochodów wyścigowych takich jak Lamborghini, Maserati czy Ferrari, ale też takich produktów regionalnych jak szynka modeńska, parmezan, mortadela, ocet balsamiczny di Modena czy bardzo popularne wśród uczestników wyprawy Lambrusco. Po zwiedzaniu wjeżdżamy w Apeniny, by drogami lokalnymi poprzez przełęcze sięgające 1400 m., kłuczac po wąskich uliczkach wysoko zawieszonych wiosek późnym wieczorem dotrzeć wreszcie do celu. Jeszcze czeka

## WYPRAWA PTT

nas kolacja, którą będą tu nam podawać przez pięć dni. A były to dwugodzinne posiady na które składało się degustowanie sałatek, dwóch dań głównych, deseru i wina czerwonego. Po pięciu dniach „Triglavskie” odchudzanie poszło w niepamięć. W kolejnych dniach w różnych składach odwiedzamy Monte Cimone 2165 m n.p.m. najwyższy szczyt Emilli Romani w Apeninach, Pania Secce 1708 m n.p.m. i Pania della Croce 1858 m n.p.m. czy okolice Monte Pisano i Uccello, gdzie niektórzy przeszli malowniczą ferratą. To bardzo piękne góry z marmurowymi turniami wyglądającymi niczym niedostępne turnie alpejskie. Jeden z pięciu dni poświęciliśmy na plażowanie w okolicach Forte dei Marmi i odwiedzenie słynnej Carrary ze śladami działalności Michała Anioła. W dniu przejazdu w Alpy Nadmorskie byliśmy jeszcze w Genui zwiedzając stare miasto, katedrę, ratusz czy stary port morski. Wcześniej jeszcze raz skorzystaliśmy z plażowania nad malowniczym Morzem Liguryjskim. W godzinach popołudniowych, a w zasadzie wieczornych dojechaliśmy do Valdieri, gdzie mieliśmy zarezerwowane dwa noclegi.

### W ALPACH NADMORSKICH

W następnym dniu przejechaliśmy przez Terme di Valdieri, by udać się w stronę najwyższego szczytu Alp nadmorskich Cima Sud Argentera 3297 m n.p.m. Dolina Valdieri to bardzo malownicze i spokojne miejsce, ze wspaniałą wojenną drogą pro-

Większość uczestników wybrała się jednak na Argenterę trójwierzchołkowy szczyt, który w najwyższych rejonach wymagał alpejskiej wspinaczki. Zdobywcy powrócili zmęczeni, ale bardzo szczęśliwi.

wadzącą do Francji. Większość uczestników wybrała się jednak na Argenterę, trójwierzchołkowy szczyt, który w najwyższych rejonach wymagał alpejskiej wspinaczki. Zdobywcy powrócili zmęczeni, ale

bardzo szczęśliwi. Wszyscy wyrażali zachwyt tym zakątkiem włoskich Alp Nadmorskich.

### ZDOBYWAMY CASTORA 4228 M N.P.M.

W kolejnym dniu mieliśmy przejazd do Gressoney la Trinite w Alpach Pennińskich leżących na granicy włosko-szwajcarskiej. Z tego znanego ośrodka narciarskiego, kolejką linową wspięliśmy się na Colle Betaforca 2672 m n.p.m. skąd szlakiem wysokogórskim po około 3 godzinach dotarliśmy do Rifugio Quintino Sella 3585 m n.p.m. Tam zakwaterowali nas w starym budynku schroniska. Dopiero na tej wysokości pierwszy raz pogoda nam się nieco pogorszyła, wiał dość mocny wiatr, ale widoki były wyjątkowo ostre i bardzo szerokie, choć czasami przysłaniane mgłą i chmurami. Noc była trudna dla wszystkich, niektórzy rano zdecydowali, że wracają do Gressoney, aby tam znaleźć nocleg. Nasze trzy grupy szturmowe pomimo porywistego zimnego wiatru wyruszyły ok godz. 9 w stronę Castora 4228 m n.p.m. Po około 4-5



Dolina Valdieri to bardzo malownicze i spokojne miejsce, ze wspaniałą wojenną drogą prowadzącą do Francji



Na szczycie Argentery 3286 m n.p.m.



FOT. ALCJA Blicharz

Castor 4228 m n.p.m.



Ferrata Schustera Steiga – Dolomity Sassolungo

godzinach powrócili szczęśliwi choć mocno zmęczeni. W jadalni schroniska grupa Polska zamówiła wiele kafelek wina.

## W DOLOMITACH SASSOLUNGO

Kolejnego dnia po zejściu do kolejki i zjechaniu do Gressoney wyruszyliśmy ku kolejnemu celowi czyli Dolomitom Sassolungo. Najpierw jednak odwiedziliśmy miejscowość Como, by podczas przejazdu podziwiać wschodnie brzegi alpejskiego jeziora. W kolejnej miejscowości Bellagio zatrzymujemy się na kolację, potem już kierujemy się w Dolomity na przełęcz Sella. Poranne widoki osłodziły niezbyt wygodny nocleg w autokarze. Miło było patrzeć na zachwyty uczestników

porannymi widokami z przełęczy. Ścieżka Schustera to niezbyt długa, ale wymagająca droga ferratowa, bardzo malownicza. Część grupy korzysta z kolejki na Forcella Sassolungo, część udaje się szlakiem turystycznym na Sasso Piatto najwyższy dostępny szczyt masywu „Długiego Kamienia”, bo tak można tłumaczyć nazwę masywu. Pogoda znowu jest wymienita i można podziwiać dalekie widoki na masywy Sella, Marmolady, Civetty. W zasadzie wszyscy spotykają się na szczycie o podobnym czasie. I o podobnym czasie ok godz. 16 wyjeżdżamy w stronę Tarvisio, gdzie mamy kolejny, ostatni już nocleg. Tam wszyscy pytają co w ostatnim dniu?, decydujemy się na plażowanie nad jeziorem Wörther See. Pogoda

jest upalna, ale przyjemny wietrzyk chłodzi już nieco zmęczone organizmy uczestników. Niektórzy kąpią się w jeziorze, spożywają miejscowe specjały. Wieczorem ruszamy w drogę powrotną, i po nocnym przejeździe docieramy do Nowego Sącza zmęczeni, ale myślę bardzo ubogaceni wspólnym przeżywaniem, radościami i rozterkami, które zawsze pojawiają się w tak małych grupach. Widoki i pogoda bardzo dopisała, za co dziękować trzeba niebiosom. Dziękuję również Robertowi Cempie naszemu przewodnikowi, rodzinie Najduchów czyli naszych kierowców, którzy byli dla nas „Aniołami Stróżami” oraz wszystkim bez wyjątku uczestnikom tej śmiałej, ale jak się okazało wykonanej wyprawy.

WOJCIECH SZAROTA

## WYPRAWA PTT



Wśród uczestników wyprawy była mała grupka senierek (60+), która realizowała równie ambitny, ale może nieco łatwiejszy program?

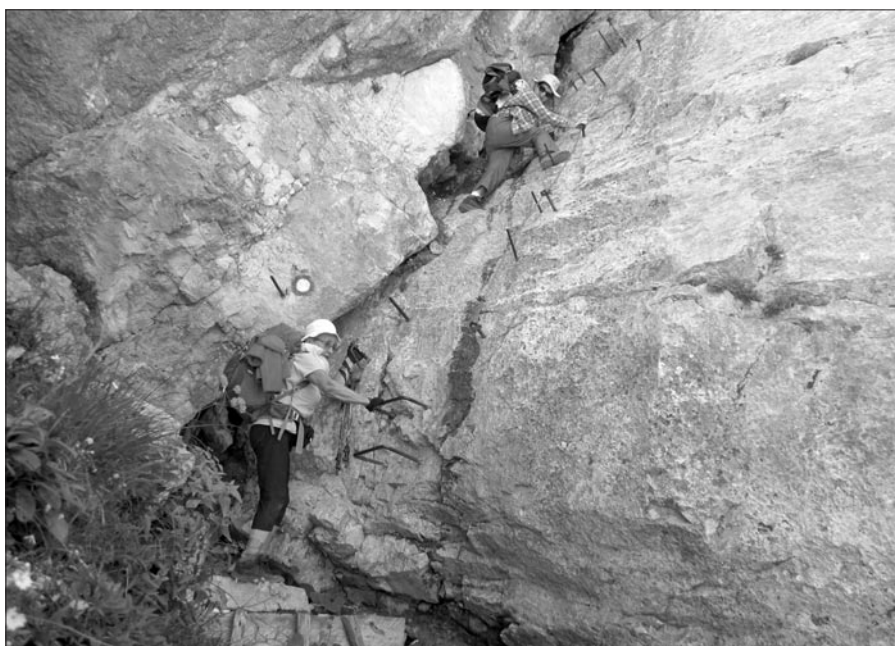
**Wśród uczestników wyprawy była mała grupka senierek (60+), która realizowała równie ambitny, ale może nieco łatwiejszy? program pod przewodnictwem niżej podpisanej. (Warto dodać, że znana wszystkim Łodzianka Nina, też (60+), radziła sobie znakomicie z grupą zasadniczą).**

Opiszę nasze dokonania z podziałem na grupy górskie, które podczas tej wyprawy odwiedziliśmy. W dniach 16-17 lipca penetrowaliśmy Alpy Julijskie rozciągające się równoleżnikowo na długości ok. 100 km od północno-wschodnich Włoch, do Słowenii. Naszym celem było zdobycie najwyższego szczytu całego pasma czyli Triglava 2864 m n. p. m.

### NA TRIGLAVA SZLAKIEM CZEZ PRAG (PRZEZ PRÓG)

Nasza grupka startuje razem z pozostałymi, ale postanawiamy, że podchodzimy do schroniska Triglavski Dom 2515 m n. p. m. nie ferratą Tomiskovą lecz szlakiem zejściowym przez Cez-prag. Nie było łatwo, po drodze kilka odcinków ferratowych, ale doszliśmy, choć bardzo zmęczone /i to nie ostatnie!/ do schroniska. Po drodze towarzyszyły nam oszałamiające widoki,

niezasłaniane żadną chmurką, bo ich pułap był wysoko nad szczytami. Naza jutrz, postanawiamy schodzić od razu do Doliny Vrata. Zdobywanie nieodległego szczytu wydało nam się zbyt wymagające, tym bardziej, że cały czas dręczyła nas wizja schodzenia bardzo trudnym szlakiem, którym weszliśmy dzień wcześniej. Jednak schodzenie



Podchodzimy do schroniska Triglavski Dom 2515 m n.p.m. nie ferratą Tomiskovą lecz szlakiem zejściowym przez Cez-prag

okazało się przyjemniejsze i nie tak trudne jak sądziłyśmy, więc pozostał nam lekki niedosyt, że jednak nie pokusiłyśmy się na zdobycie Triglava.

### MARUROWE GÓRY CZYLI APUAŃY

Prawie pięć dni spędziliśmy w toskańskich Alpach Apuańskich, stanowiących tak naprawdę część Apeninów. Nasz hotel wysoko zawieszony nad Doliną Garfagnana zapewnił nam wiele pozytywnych doznań; od rozkoszy podniebienia po wspaniałe widoki na dolinę i majestatyczne marmurowe szczyty po jej drugiej stronie. Nasza damska grupka z wyjątkiem pierwszego dnia, realizowała program główny. Co robiłyśmy nazajutrz po przyjeździe do Corfino? Zdobyłyśmy szczyt wiszący nad miasteczkiem prawie pionową wapienną ścianą. Pania di Corfino 1603 m n. p. m, jest szczytem oferującym bardzo rozległe widoki. Podczas niepiesznej wędrowki zwiedziłyśmy ciekawe fragmenty Parku Przyrody dell'Orecchiella, podziwiając wspaniałą roślinność naskalną i piękne dalekie krajobrazy obejmujące całe pasmo Alp Apuańskich od zachodu, natomiast





Zdobyliśmy szczyt wiszący nad miasteczkiem prawie pionową wapienną ścianą. Pania di Corfino 1603 m n.p.m, jest szczytem oferującym bardzo rozległe widoki

od wschodu najwyższy szczyt Apenin Toskańskich Monte Cimone 2165 m n.p.m, na który w tym dniu wspinała się reszta naszej grupy. Po zejściu zwiedzamy „nasze” miasteczko pełne uroczych zaułków i tarasów widokowych oraz degustujemy miejscowe specjały.

Razem z zasadniczą grupą zdobywamy kolejnego dnia szczyt Pania della Croce 1858 m n.p.m. z niesamowitą panoramą sięgającą wybrzeża, które odwiedzamy następnego dnia. Ostatniego „dnia górskiego” w Toskanii, próbujemy zdobyć Monte Pisanino 1947 m n.p.m. Startujemy ze schroniska Val Serenaia, podobnie jak zasadnicza grupa kierująca się w stronę Uccello. My trawersujemy jednak zbocze po przeciwnej stronie kotliny. Po mozolnej, ale łatwej wspinaczce, osiągamy Przełęcz Cardeto i tutaj mamy dylemat: na mapie widać, że szlak powinien biec granią, a w realu schodzi ostro w dół. Opuszczamy się nim dwukrotnie po kilkadziesiąt metrów i nic – ścieżka prowadzi dalej ostro w dół. Zrezygnowani (tym razem mamy również panów) wracamy na przełęcz i po odpoczynku schodzimy z powrotem. Dopiero przy schronisku dowiadujemy się, że należało zejść jeszcze niżej, gdzie odbija ścieżka trawersująca zbo-

cze w stronę szczytu. No cóż, pozostało cieszyć się z widoków na kamieniołomy z olśniewającą bielą marmurów eksploatowane po obu stronach przełęczy Cardeto. Opuszczamy Toskanię 23 lipca i jedziemy w Alpy Nadmorskie do Doliny Gesso, gdzie w miejscowości Santa Anna di Valdieri mamy dwa noclegi. Al-

py Nadmorskie leżą na granicy włosko – francuskiej, najwyższy szczyt pasma Cima Argentera 3297 m n.p.m. leży po włoskiej stronie. Następnego dnia jedziemy doliną Gesso ponad miejscowość Terme di Valdieri (około 1600 m n.p.m.).

## ALPY NADMORSKIE – JEZIORA UMARŁYCH Kobiet

Grupa zasadnicza wspina się na Argenterę, a my trawersujemy zbocze Cima Guiglia 2437 m n.p.m, większość trasy prowadzi „drogą wojenną” zbudowaną przed II wojną światową przez strzelców alpejskich. Miała biec tędy linia obrony przed Francuzami. Po osiągnięciu krawędzi moreny, droga wiedzie obok trzech niewielkich jeziorzek polodowcowych Frema Morta – Umarłych Kobiet, leżących na wysokości około 2350 m n.p.m. Przy pierwszym jeziorzku znajdują się też ruiny budowli wojskowych. Na szczycie dostrzegamy pomalowany na czerwono metalowy schron górski. Zaglądamy do środka: czysto, piętrowe prycze mogące pomieścić z 10 osób, trochę kuchennego sprzętu. Granica francuska jest bardzo blisko.



Na szczycie Guiglia 2437 m n.p.m. znajduje się pomalowany na czerwono metalowy schron górski

## WYPRAWA PTT

Prowadzi granią, tuż nad jeziorkami. Schodzimy z powrotem do Doliny Gesso, podziwiając piętrzący się po drugiej stronie masyw Argentery. Doskonale widoczne jest również schronisko Remondino, z którego nasza grupa wspinała się na szczyt. Wracamy do autokaru pełne niezapomnianych wrażeń.

### LODOWCE ALP PENNINSKICH

Nazajutrz, 25.07 jedziemy w Alpy Pennińskie do Doliny Gressoney na pograniczu Włoch (regiony Piemont i Dolina Aosty) i Szwajcarii.

Moje koleżanki zostają na dole, ja z grupą zasadniczą wyjeżdżam kolejką na Colle Bettaforca, czyli na wysokość 2672 m n.p.m. Stamtąd wspina się do schroniska Quintino Sella, leżącego na skraju lodowca na wysokości 3585 m n.p.m. W końcówce zaczynam odczuwać objawy „wysokościówki” (nigdy nie byłam tak wysoko), wlokę się krok po kroku, gdy dostrzegam schronisko odczuwam wyraźną ulgę. W nocy na tej wysokości temperatura spadła znacznie poniżej zera i wiał lodowaty wiatr. Woda do mycia też lodowata a łazienka w osobnym budynku, więc korzystanie z tych „dobrodziejstw” było nie lada wyzwaniem. Rano, po nieprzespanej nocy, postanawiam zejść do Gressoney, podobnie jak kilka jeszcze osób. Po wyjściu zespołów wspinających się na Castora, poczłapałam trochę po lodowcu podziwiając tę krainę lodu i kamieni, pooglądałam rozległe panoramy pełne ośnieżonych szczytów i rozpoczęłam zejście. Zdobywcy Castora 4221 m n.p.m. mają jeszcze jeden nocleg w schronisku i dopiero kolejnego schodzą w dół.

### DOLOMITOWY ZAWRÓT GŁOWY

Ostatni dzień programu górskiego naszej wyprawy zaczął się wcześniej, bo o 6 rano 28.07. Po nocnym przejeździe, wjeżdżamy na przełęcz Sella 2100 m n.p.m. Co za widok! Z zachwytu nie wiemy w którą stronę patrzeć: z jednej niedostępny mur skalny Selli, całkiem płaski u góry, a z drugiej postrzępiony grzebień strzela-



Po wyjściu zespołów wspinających się na Castora, poczłapałam trochę po lodowcu podziwiając tę krainę lodu i kamieni, pooglądałam rozległe panoramy pełne ośnieżonych szczytów i rozpoczęłam zejście



Wyruszamy na trasę wokół Selli do schroniska Sasso Piatto 2300 m n.p.m. Idziemy niespiesznie kontemplując widoki i przy schronisku podejmujemy decyzję o ataku szczytowym. Prawie 700 m przewyższenia o dużym nachyleniu, ale trasa dość łatwa i po 2 godzinach jesteśmy na szczycie, gdzie spotykamy zasadniczą grupę, która weszła ferratą Schustera Steiga.

jących w niebo turni Dolomitów Sassolungo. To te ostatnie będą w tym dniu eksplorowane przez naszą grupę. Grupa zasadnicza zmierza do kolejki na przełęcz Sassolungo. My wyruszamy na trasę wokół Selli do schroniska Sasso Piatto 2300 m n.p.m. Idziemy niespiesznie kontemplując widoki i przy schronisku podejmujemy decyzję o ataku szczytowym. Prawie 700 m przewyższenia o dużym nachyleniu, ale trasa dość łatwa i po 2 godzinach jesteśmy

na szczycie, gdzie spotykamy zasadniczą grupę, która weszła ferratą Schustera Steiga. Piękna pogoda, morze szczytów w zasięgu wzroku a na dole wspaniałe zielone doliny. Życie po 60-tce może być naprawdę piękne! Schodzimy razem ze wszystkimi tą samą trasą. Nasza przygoda z Alpami właśnie się kończy. Gdzie wyruszymy w 2018 roku? Na pewno znów nas poniesie gdzieś wysoko!

MARIA DOMINIK



Na turystów czekają taksówki-stare amerykańskie krążowniki: zielone buicki, różowe cadillaki, czerwone deSoto, wszystkie odpicowane, błyszczące, piękne

# POLAQUITO EN CUBA czyli wyprawa zakrapiana rumem

**Chcieliśmy zdążyć zanim największy wróg supermocarstwa zza wielkiej wody odej-  
dzie z tego świata, a jego sielską wyspę najadą hordy kapitalistów z kieszeniami wy-  
pełnionymi zielonymi „bucksami” zamieniając, jak przed kilkudziesięciu laty, utopijny  
raj w dochodową fabrykę cygar i rumu. Cel osiągnęliśmy połowicznie. Fidel co praw-  
da wyprowadził się z Kuby na wieczność pięć miesięcy wcześniej, a Raul pokątnie  
dogadywał z Obamą, póki co jednak kolejna wielka rewolucja na wyspie nie nastąpi-  
ła, a niespieszne podejście do życia jej mieszkańców generowało kolejki tak samo  
jak wtedy, gdy boski Che został ministrem przemysłu i finansów.**

## Oldsmobile w wersji kubańskiej

Wysiadając z samolotu przenosimy się w czasie do póź-  
nych lat 50-tych. Na turystów czekają taksówki-stare amery-  
kańskie krążowniki: zielone buicki, różowe cadillaki,  
czerwone deSoto, wszystkie odpicowane, błyszczące, piękne.  
Zachodzimy w głowę jak takie perełki mogą służyć za tak-  
sówki. Wkrótce przekonujemy się, że wszyscy mieszkańcy

poruszają się zabytkami, które w innym kraju stałyby  
pod plandeką w garażu bogatego kolekcjonera, ewentualnie  
w muzeum. To efekt dziwnego prawa, który zezwala  
na kupno tylko samochodów sprzed rewolucji czyli 1959 r.  
oraz skutek amerykańskiego embargo obowiązującego  
od 1961 r., które objęło również przemysł motoryzacyjny, nie  
tylko samochody ale również części zamienne. Tym sposo-  
bem na wyspie, niczym koty, kolejne życia otrzymały samo-

chody z lat 40 i 50-tych, a że **Kubańczycy to naród zaradny, sami w zaciszu garażu reaktują silniki częściami z pralek i kosiarek, toczą śruby i nakrętki, klepią blachę wskrzeszając historyczne egzemplarze niczym Jezus Łazarza.** Znaczący twierdzą, że kubańskie oldsmobile nie mają wartości kolekcjonerskiej ze względu na liczne modyfikacje i nieoryginalne części. Kto by tu na to zwracał uwagę, przejażdżka taką bryką w wersji cabrio po nadmorskiej promenadzie Malecon przy dźwiękach Chan Chan dobiegających z radia, gdy grzywkę rozwiewa bryza wiejąca od Zatoki Hawańskiej to bezcenne przeżycie i obowiązkowy punkt programu każdego turysty odwiedzającego Kubę.

## Polaquito

Zwiedzanie w karaibskim upale daje się we znaki. Przystajemy na chwilę w niewielkiej knajpcie usytuowanej w kolorowej acz odrapanej kamienicy kilka przecznic od okazałego Kapitolu i ciekawej architektonicznie dzielnicy China Town. Wzmocnieni orzeźwiający Mojito nawiązujemy znajomość ze stałym bywalcem Kuby i tego lokalu, który rozpoznał nasz słowiański akcent. To Chorwat od lat mieszkający w Kana-



Polaquito czyli kochany przez Kubańczyków nasz „maluch”

dzie, który upodobał sobie tę karaibską ostoję przed laty i niezmiennie wizytuje ją nawet kilka razy w roku. W Quebecu marznie jego żona autochtonka, w Hawanie czeka gorąca tubylcza kochanka (ech, ta słowiańska dusza). Udziela nam kilka praktycznych wskazówek jak nie dać się oskubać. Stolik obok szwargoczą dwie Austriaczki. Kto by pomyślał, że kilka tysięcy kilometrów od domu spotkamy się w jednym lokalu z nieodległymi narodami. **Kelnerka pyta skąd jesteście, gdy słyszy, że z Polski uśmiecha się i mówi, że bardzo sobie cenią „polaquito” (polaczków).** Wkrótce okazuje się, że to miejscowa nazwa na wytwór naszego rodzimego przemysłu motoryzacyjnego-malucha, który podbił serca Kubańczyków swoimi rozmiarami i nieskomplikowaną konstrukcją, jest też tani w utrzymaniu co czyni go towarem bardzo pożądanym. Cena wysłużonego malucha to wydatek 5-10 tys. dolarów! Skąd polaczki na wyspie? Ano z tej samej przyczyny, dla której na kubańskich ulicach możemy spotkać stare MZetki, łady i wołgi – to efekt współpracy i wymiany towarów w ramach Rady Wzajemnej Współpracy Gospodarczej, której Kuba stała się członkiem w 1972 r. Około 10 tysięcy naszych maluchów wciąż jeździ po wyspie. Niektóre z nich przeszły mocny lifting, gdzieś w górach Sierra Maestra spotkaliśmy nawet polaquito w wersji SUV!

## Quantanamera do śniadania

O tym, że Kuba muzyką stoi, wiedzą wszyscy, którzy potrafią zlokalizować ją na mapie. Do każdego posiłku: czy to jajeczniczy na śniadanie czy wykwintnych smażonych kalmarów na podwieczorek serwowana jest muzyka na żywo wygrywana solo przez sędziwego muzykanta na akordeonie lub cały zespół uzbrojony w instrumenty dęte, bębny i gitary. Chwytlive kubańskie szlagiery rozpropagował na całym świecie film niemieckiego reżysera Wima Wendersa: Buena



Chwytlive kubańskie szlagiery rozpropagował na całym świecie film niemieckiego reżysera Wima Wendersa: Buena Vista Social Club

Vista Social Club. Tytuł filmu nawiązuje do nazwy hawańskiego klubu wzajemnej pomocy, skupiającego czarnych muzyków i tancerzy. Szczyt jego popularności przypadł na lata trzydzieste i czterdzieste XX wieku. Wenders odnalazł zapomnianych i mocno posuniętych w wieku muzyków, których większość porzuciła granie na rzecz bardziej przyziemnego zarobkowania i wskrzesił ich legendę na nowo. Buena Vista Social Club w oryginalnym składzie nie gra już od dawna. Większość znakomitości tworzących niegdyś Buena Viŝtę już nie żyje, Ci co pozostali dzierżą schedę po zmarłych muzykach tworząc grupy o tej samej nazwie i koncertują niemal co wieczór. Grzechem byłoby być w Hawanie i nie posłuchać jednego z takich koncertów. Większość publiczności stanowią sztywni Europejczycy, Kanadyjczycy oraz Azjaci. Darmowe drinki z rumem nie wystarczają żeby poruszyć towarzystwo. Gdzieniegdzie trafiają się miejscowi. Obok nas starsza para autochtonów na dwóch metrach kwadratowych daje spontaniczny pokaz zmysłowego tańca. Nam pozostaje klaskanie i tupanie nóżką pod stołem do niezwykle energetycznej muzyki. Między stoliki wkracza skurczona, niewidoma niemal stuletnia babcia owinięta boa jak prawdziwa diwa, prowadzona przez wyglądającego przy niej jak kolos ciemnoskórego mężczyznę, który okazuje się być kolejnym z nastu mężów (pozostałych zdążyła już pochować). Po chwili babcia udowadnia, że wiek to tylko stan ciała. Jej głos jest niezwykle mocny a energiczny ruch sceniczny nie pasuje do tego co widzieliśmy ledwie przed chwilą, gdy z trudem stawiała kroki podtrzymywana przez męża. Stulatka udowadnia to, co wydawałoby się tylko legendą – rum i cygara dobrze konserwują, słońce i muzyka też. Z wieńczącym koncert „Chan Chan” odśpiewanym przez wszystkich występujących tego wieczoru muzyków kończy się nasza przygoda w Hawanie, ruszamy na zachód do Pinar del Rio (słynącego z upraw najlepszego tytoniu na świecie) i Valle de Vinales – parku narodowego z gigantycznymi wapiennymi ostańcami Mogotes przywodzącymi na myśl wietnamską zatokę Ha Long.

## Romeo, Julia, Cohiba oraz spocone udo pewnej Kubanki, która miała być dziewczicą

Po drodze zwiedzamy plantację tytoniu i fabrykę cygar – bodajże największej chluby komunistycznej wysepki. Jako pierwszy tutejszy tytoń rozślawił Winston Churchill, który od wizyty na Kubie w 1895r. z cygarami się już nie rozstawał do tego stopnia, że, jak wieść niesie, specjalnie dla niego przygotowano maskę tlenową z otworem na cygaro, aby mógł palić podczas lotu w samolocie wojskowym z niehermetyzowaną kabiną. Churchill upodobał sobie kubańską romantyczną markę „Romeo i Julia”. Drugim amatorem cygar, który o mało nie stracił przez nie życia (i to nie dlatego, że palenie zabija), był Fidel Castro. El Comendante



Po drodze zwiedzamy plantację tytoniu i fabrykę cygar

wierny był jednej marce-„Cohiba”, którą w zasadzie sam stworzył, a potem został jej ambasadorem nie tylko w komunistycznym świecie. Zaczęło się od ochroniarza Bienvenido „Chicho” Pereza, który poczęstował Fidela zaintrygowanego rozchodzącym się aromatem. Cygara dla „Chicho” skręcał przyjaciel, który wkrótce stał się osobistym dostawcą i producentem cygar dla przywódcy Kuby-tak narodziła się marka Cohiba, produkująca cygara wyłącznie dla wodza oraz wąskiej grupy najwyższych dygnitarzy. Stanowiła także ekskluzywny prezent dla członków korpusu dyplomatycznego akredytowanych na Kubie i zagranicznych gości. Fidel „Cohibe” palił nie tylko ze względu na jej walory smakowe ale też dla bezpieczeństwa. Amerykańskie służby wywiadowcze znając słabość Castro do cygar, wielokrotnie próbowały ją wykorzystać, organizując kolejne zamachy na jego życie (doliczono się ich ok. 638). Jedne cygara miały detonować na twarz Castro, inne zaś nasączone substancją chemiczną powinny być wodza przyprowadzić o omamy wzrokowe, rzucić cień na jego zdrowie psychiczne i zachwiać wiarą ludu w słuszność jego rządów, jeszcze inne miały doprowadzić do zgonu, który w końcu nastąpił z innej jednak przyczyny. Akcje CIA wzięły w łeb, Fidel zaś zszedł w dziewięćdziesiątej jesieni życia na dolegliwości jelitowe, będące raczej konsekwencją wieku niż trucizny. W podobnym wieku na tamten świat przeniósł się Churchill, wysnuć można więc teorię, że podczas gdy palenie papierosów zbiera na świecie śmiertelne żniwo, „pykanie” cygar (w obowiązkowym zestawie rumu lub whisky) najwyraźniej już nie.

Wszystkie kubańskie cygara zwijane są ręcznie, prócz jednych – „Guantanamo” – sporo tańszych, wytwarzanych mechanicznie w cieszącej się złą sławą prowincji Gu-

**antanamo. Różni je od „prawdziwych” cygar nie tylko ceną ale również zbyt regularne zakończenie, no i smak. W fabrykach, gdzie zwija się je ręcznie, każdy liść jest skrupulatnie dobierany, zaś długość cygara i jego temperatura mierzone. To prawdziwy rytuał odbywający się pod czujnym okiem kontrolera jakości.** Spotyka nas jednak rozczarowanie – żadna z pracownic nie zwija cygara na swoim udzie. Autorem tej fantazyjnej historyjki, która rozeszła się po świecie, rozpalając wyobraźnię panów z najdalszych zakątków globu, był ponoć Ernest Hemingway, stały bywalec kubańskich tawern i wielki smakosz tutejszego rumu. Gdyby, opowiadka była prawdą, kontroler jakości musiałby sprawdzać dodatkowo prowadzenie się pracownic... O spocone udo w tym klimacie nie trudno.

**Po drodze z Pinar del Rio zahaczamy Valle de Vinales. Obowiązkowy punkt programu to „El mural de la prehistoria” – wielki bohomasz przedstawiający ewolucję ludzkości aż do ostatniego ogniwa rozwoju, jakim jest „człowiek socjalizmu”, którego namalowanie na 120 metrowej wapiennej skale Fidel zlecił niedługo po dojściu do władzy.** Wątpliwej urody atrakcja przyciąga jednak rzesze turystów, których raczy się tutaj najlepszą na wyspie Piña coladą. Jako, że rumu na wyspie nikomu się nie żałuje, na barze zawsze stoi butelka, którą, jeśli uznamy to za konieczne, możemy wzmocnić drinka.

## Krokodyl w Zatoce Świń

Kolejny obowiązkowy przystanek na naszej trasie to rajska Zatoka Świń czyli symbol spektakularnej porażki Amerykanów w kwietniu 1961 r. Pomysł na obalenie świeżutko wyklutego reżimu na swym niegdyśszym „terenie stanowym” wydawał się prosty – CIA postanowiło wykorzystać biednych kubańskich emigrantów, odesłać ich z powrotem do ojczyzny, by tam wzniećli kontrewolucję i obali Castro będącego sołą w oku nie tyle świeżo wybranego na prezydenta Johna F. Kennedy'ego, co raczej jego poprzednika Dwighta D. Eisenhowera (to za jego rządów powstał plan inwazji). Co ciekawe, ledwie dwa lata wcześniej USA (obok państw socjalistycznych) uznały, jako jedne z pierwszych na świecie, legalność rządów „El Comendante”, gdy ten jednak okazał się być krnąbrnym sąsiadem stosunki uległy nie tyle ochłodzeniu, co zamrożeniu. Złe przygotowana akcja w Zatoce Świń zakończyła się kompletnym fiaskiem i kompromitacją Stanów Zjednoczonych, popychając jednocześnie Castro w objęcia Związku Radzieckiego, które po bratersku wsparły wojska kubańskie w walce z kontrewolucjonistami. Przyjaźń ta zaowocowała wkrótce kryzysem, który omal nie doprowadził do wybuchu III wojny światowej. Od tamtej pory eksperci CIA prześcigali się w pomysłach na wyeliminowanie Fidela, które zakładały nie tylko hipisowskie metody jak wspomniane już nasączenie cygara LSD czy zainfekowania skafandra do nurkowania trującym grzybem, ale również ewidentnie inspi-

rowaną Biblią i przypowieścią o Samsonie koncepcję wysmarowania fidelowych butów pastą, która spowodowałaby utratę zarostu a tym samym autorytetu i władzy.

Po drodze do kubańskiej „Perły południa” – Cienfuegos, zahaczamy o farmę krokodyli, które osobiście karmię przy pomocy prymitywnego narzędzia wyglądającego jak zrobiona naprędce przez dziecko wędka. W lokalnej restauracyjce nie bez obaw i wyrzutów sumienia próbujemy mięsa tutejszych pieszczochów. Mimo, iż krokodyl kubański znajdują się na liście gatunków zagrożonych serwuje się je tutaj jak kurczaki i także smakują – wbrew swej drapieżnej naturze mięso krokodyla okazuje się nadzwyczaj delikatne w smaku.

## Obrządek Ocha i ojcowie tajemnic

Z uroczego Cienfuegos ruszamy do Trynidadu, jednego z najstarszych kubańskich miast. Ze względu na nienaruszoną politycznymi zawieruchami i zmieniającymi się gustami kolonialną architekturę nazywane jest „klejnotem Kuby”. Położone nieco w głębi lądu, uniknęło także łupieżczych napadów grasujących na wybrzeżu piratów. Przechadzając się kolorowymi uliczkami wchodzimy do jednej z bram i trafiamy na tajemnicze obrzędy. W rogu pomieszczenia usytuowanego przy patio stoi ołtarz a na nim czarna lalka przybrana niczym Matka Boska. W klatce niespokojnie gdczą kurczaki przeczuwając najwyraźniej, że ich drobiowy żywot zostanie złożony wkrótce w ofierze tajemniczym bogom przez kapłanów Santerii zwanych babalochas - „ojcami tajemnic”. **Santeria to niezwykła mieszanka religii chrześcijańskiej i wierzeń afrykańskich, wywodząca się od czarnych niewolników ściąganych na karaibskie plantacje z rejonu dzisiejszej Nigerii, których jedynym dobytkiem była religia przodków. Poddani brutalnej chrystianizacji ze strony oddanych Bogu misjonarzy, nawracani batem przez swych katolickich właścicieli, afrykańscy niewolnicy zaadoptowali chrześcijaństwo, przeszczepiając własne wierzenia do „słusznych” obrządków religijnych.** Tym sposobem afrykańskie bóstwa-Orishas objawiły się na nowo pod postacią katolickich świętych. Matka Boska nosi tutaj drugie imię - Oshun i jest Panią wód płynących, boginią seksualności, obfitości, kobiecej płodności, sztuki i piękna. Jej ulubiony kolor to żółty i złoty, a ze wszystkich kamieni upodobała sobie bursztyn. Trochę gorzej jest z Jezusem, który przybrał imię Obatala – ojca wszystkich ludzi i wedle Santerii jest i mężczyzną i kobietą... Bóg Ojciec utożsamiany jest przez Oloruna – władcę nieba, źródło życia, energii i siły. W Santerii praktykuje się składanie ofiar – często krwawych w postaci zwierząt, ale też używek czyli tego, co Kuba do zaferowania ma najlepszego a więc cygar i rumu. Szalony taniec wprowadzający w trans i religijną ekstazę w rytm afrykańskich bębnow stanowi nieodzowny element mszalnych obrzędów.

Nieco bardziej niż zwykle uduchowieni postanawiamy wzmocnić doznania Canchancharem – miejscowym napit-



Matka Boska nosi tutaj drugie imię - Oshun i jest Panią wód płynących, boginią seksualności, obfitości, kobiecej płodności, sztuki i piękna.

kiem z miodu, rumu i soku cytrynowego, z ekstatycznego tańca rezygnujemy. Wysyłamy za to pocztówki, które albo pochłonał bezkresny ocean albo kosz na śmieci obok obsługującej nas pani przy stoisku ze znaczkami i kartkami. Najwyraźniej poczta w Ameryce Środkowej działa inaczej niż w innych zakątkach świata. Z Meksyku pocztówki również, jak dotąd, nie dotarły.

## Towarzysz Edward i Maryla Rodowicz

W Camaguey nieoczekiwanie trafiamy na kilka polskich wątków. Najpierw w miejscowym muzeum oglądamy starą kamerę, która okazuje się być darem od polskich studentów a potem na ścianie wśród mrowia zdjęć Fidela rozpoznajemy znajomą facjatę towarzysza Edwarda Gierka, który wizytował Kubę w 1972 r. Sam Castro bywał częstym gościem w Polsce. Łączył nas nie tylko system, ale także wymiana handlowa oraz współpraca naukowa. Polacy budowali na Kubie fabryki (niektóre dość opieszale jak np. odlewnie żeliwa w

Holquin – co zajęło im w sumie 30 lat), wysyłali maszyny (w tym Polaquito), w zamian w PRLu święta pachniały egzotycznymi pomarańczami. Na jednym z placów przysiadła się do mnie miejscowy, mówi „cześć” i ni stąd ni zowąd zaczyna śpiewać polskie szlagiery Maryli Rodowicz, Czerwonych Gitar i Niebiesko-Czarnych. Gdy pierwszy szok mija, pytam go wielkimi literami „SKĄD ZNASZ TAK DOBRZE POLSKI?”. Okazuje się, że wymiana naukowa ma też drugie oblicze. Jego ojciec studiował w Polsce i tam poznał matkę, która zamieniła kapryśną aurę w Europie Środkowej na pewne słońce na Karaibach. Od czasu do czasu całą rodziną wizytują nasz kraj, ale jakoś nie planują się do niego przenieść, pomimo galopującego dobrobytu, który wmawiają nam politycy.

## Dyskoteka w wersji kubańskiej

Kolejną noc spędzamy w Holquin, by rano wyruszyć na wschodni kraniec wyspy – do Baracoa zamieszkanego przez potomków rdzennych mieszkańców Kuby-Indian Taino. To właśnie tutaj zaczyna się nowożytna historia wyspy. Wedle tradycji, to właśnie w Baracoa Krzysztof Kolumb stanął po raz pierwszy na kubańskiej ziemi pod koniec października 1492 r. i zachwyił się nim tak bardzo, że nazwał najpiękniejszym miejscem na ziemi. Na dowód wizyty, w miejscowym kościele znajduje się krzyż misyjny, przywieziony przez niego ze „Starego Świata”. Do połowy XX w. miasto to odcięte było od reszty wyspy i można było się tu dostać tylko drogą morską, dzięki czemu miasto zachowało swego ducha. Choć w Baracoa turystów nie brakuje, jest ich znacznie mniej niż w innych miastach na wyspie. Wieczorem udajemy się do miejscowego domu kultury na potańcówkę, bardziej z ciekawości niż chęci poszurania na parkiecie. Kilku lokalnych muzyków wygrywa chwytliwe piosenki, nogi same rwą do tańca. W cenie wejściówki dostajemy orzeźwiający mojito a gdy tylko odsłania się denko szklanki, niczym dżin, pojawia się właściciel lokalu z kolejnym drinkiem. Przez otwarte okiennice z ciekawością zaglądamy turyści, których ściągnęły tu dźwięki skocznej muzyki. Widok innych Europejczyków zapewne dodaje im odwagi, bo wchodzą i zajmują miejsca wokół parkietu. Tak zaprzyjaźniamy się z młodą parą Austriaków, którzy przyjechali tu uczyć się salsy. Onieśmieleni turyści nie garną się do tańca. Po kilkudziesięciu minutach i kilku mojito pierwsze pary ruszają na parkiet, po nich kolejne. Po godzinie 22 lokal zaczyna się zapełniać także miejscowymi i wtedy przekonujemy się, jak należy tańczyć salsę i rumbę. Decydujemy się spróbować swoich sił z naszym przewodnikiem Carlosem. Robię co mogę, ale mój towarzysz strząsa mną i gani „prześtań tańczyć jakbyś była na dyskotece”... – pocieszam się myślą, że zarówno salsa jak i rumba to jedne z najtrudniejszych stylów tanecznych, tłumaczę sobie, że Kuba to ojczyzna tych gorących rytmów, umiejętność tańczenia salsy czy rumbi wysysa tu się z mlekiem matki. Mnie, chłodnej

i sztywnej Słowiance, zostaje zapisać się na kurs tańca, najlepiej w Baracoa, bo patrząc na nadgryzione zębem czasu i zmęczone mojito sąsiadki zza Odry, wijące się na parkiecie niczym anakonda w śmiertelnym uścisku, utwierdzam się w przekonaniu, że tutejsi instruktorzy naprawdę potrafią zdziałać cuda. Carlos chyba się domyśla, jak trudne byłoby to zadanie do wykonania z nami, więc zamiast salsy po powrocie do hotelu uczy nas jak prawidłowo trzymać i palić cygaro. Kolejny drink rozwiązuje mu język. Opowiada o Kubie zwykłej, niewidocznej dla turystów. I choć wystawia laurkę reżimowi Fidela, zapewne wyuczoną, jego opowieści tylko potwierdzają to, co sami zauważyliśmy: nie jest na Kubie tak źle, jak niektórzy chcieliby uważać, mimo systemu kartkowego, pustych półek w sklepie i kultu jednostki. Pytanie o to, czy za izolację i zacofanie gospodarcze Kuby należy winić tylko Castro, nasuwa się samo.

## „Por Cuba Libre!”

Dawna prowincja Oriente obejmująca wschodnie tereny wyspy, to najbiedniejsza część Kuby, notorycznie doświadczana przez żywoły pokroju tegorocznej Armii. Miejscowa ludność handluje czym może, ledwie wiążąc koniec z końcem, łatając zniszczone domostwa po kolejnych huraganach. Na pustej plaży w Maguana oddalonej 25 km od Baracoa turysta to skarb. Kupujemy drobne souveniry i rozdajemy długopisy (to nie żart, materiały piśmiennicze są tutaj na wagę złota) Jednemu z miejscowych dopisuje szczęście i dostaje nadprogramowy podkoszulek, zachęcony tym nabytkiem po chwili zjawia się z wielką muszlą, którą bezskutecznie próbuje przehandlować na sandały. Bieda aż piszczy, serce się kraja, ale ludzie tutaj są bardzo przyjaźni i nienachalni, zawsze uśmiechnięci, jeśli o coś proszą, to o długopis lub szampon, nigdy o pieniądze.

Kolejnego dnia ruszamy do Parku Narodowego Humboldta i dalej do stolicy niegdysiejszej prowincji Oriente - Santiago de Cuba. Jedziemy wzdłuż strefy zmilitaryzowanej Guantanamo, soli w oku rządu kubańskiego, którą Stany Zjednoczone dzierżawią od 1903 roku na czas nieokreślony, bez widoków na rychły zwrot w ręce Kubańczyków. Amerykańską bazę rozslawiło na świecie więzienie, w którym więźniów przetrzymywano bez wyroku sądowego a podczas przesłuchań stosowano mało wysublimowane tortury. Na terenie bazy znajduje się też jedyny McDonald-symbol zdeprawowanego kapitalizmu. Zakazany teren obserwujemy przez lunetę na jednym z punktów widokowych, burgerowni nie dostrzegamy, więzienia też nie.

**W Santiago de Cuba, drugim największym, najważniejszym i najbardziej karaibskim mieście Kuby, obok sztandarowych zabytków, obowiązkowym punktem zwiedzania są koszary Moncada z widocznymi do dzisiaj śladami po kulach. W 1953 r. Castro wraz z kilkoma młodymi towarzyszami ruszył brawurowo na koszary, by po chwili**

**wpść w ręce wojskowych i trafić do więzienia. Trzy lata później spróbował ponownie, tym razem przypluwając z Meksyku na jachcie „Granma” i chroniąc się w górach Sierra Maestra. Musiały minąć kolejne trzy lata, by znie-nawidzonego Fulgencio Batistę zastąpił ukochany rewolucjonista Castro.**

Udajemy się też na cmentarz Santa Ifigenia, by z bliska zobaczyć miejsce spoczynku dwóch wielkich Kubańczyków: Jose Martiego – XIX-wiecznego poetę i przywódcę ruchu niepodległościowego oraz świeżo pochowanego Castro. Grób tego ostatniego to w rzeczywistości wielki głaz ze skromną tablicą. Co ciekawe, postawiono go tu zanim podano do wiadomości, że Fidel nie żyje. Dwa tygodnie przed oficjalnym zgonem „El Comendante” cmentarz Santa Ifigenia wizytowali nasi znajomi uwieczniając na zdjęciach wielki parawan otaczający obecne miejsce pochówku Castro. Niezależnie od tego czy Fidel zszedł wcześniej czy później, obecnie swoje trzeba odstać, by do głazu się dostać. W tej samej nekropolii znajdziemy groby członków Buena Vista Social Club oraz rodziny Bacardi, która rum wniosła na salony. Alkohol wytwarzany z trzciny cukrowej, dużo mocniejszy niż obecnie, był ulubionym trunkiem piratów, rabusiów i handlarzy ludźmi, dopiero Don Facundo Bacardi, opracowując unikalną recepturę sprawił, że zainteresowały się nim również wyższe sfery. Bacardi swoją destylarnię otworzył w 1862 r. w Santiago de Cuba. Na strychu nowo nabytej nieruchomości, żona właściciela odkryła nielegalnych mieszkańców, których przedstawiciel stał się symbolem firmy, stąd nietoperz na etykiecie rumu Bacardi. Nie tylko Cohiba ale również dzieje Bacardi związane były z burzliwą historią Kuby. Po zwycięskiej wojnie nad Hiszpanami w 1899 r., gdy Kubańczycy odzyskali w końcu wyśnioną przez Jose Martiego niepodległość, amerykańscy żołnierze, którzy wsparli militarnie dążenia mieszkańców wyspy, w jednym w hawańskich lokali wzniesli toast rumem z colą i limonką okrzykiem „Por Cuba Libre!” - za wolną Kubę! Tak zrodził się jeden z najbardziej znanych koktajli na świecie. Mojito to ponoć dzieło korsarza kapitana Drake'a, zaś jego wariację na bazie białego rumu, syropu cukrowego i soku z limetki o nazwie Daiquiri upodobał sobie stały bywalec hawańskich lokali – Ernest Hemingway. Spuścizna Facundo nie przetrwała rewolucji Castro, mimo że rodzina Bacardi wspierała finansowo Ruch 26 lipca. Wkrótce ich majątek został skonfiskowany a sami Bacardi zmuszeni do emigracji. W ich dawnej destylarni rozlewa się teraz rum „Santiago De Cuba”, Bacardi zaś zmieniło lokalizację na pobliskie Bahamy. Jeśli idzie zaś o prywatną działalność, to istnieje „coś” takiego na Kubie, lecz w bardzo ograniczonym zakresie. Drobną przedsiębiorczość ogranicza się głównie do ulicznych sprzedawców i babć klozetowych. Zwłaszcza te drugie dają się we znaki. **Bezpłatna toaleta w restauracji czy pubie to rzadkość (opłat nie unikniemy także na lotnisku). Starsze panie dzielnie strzegą drzwi do ubikacji, wydzielając listki papieru i kawałki mydła, ratując kubkiem wody, gdy**





Udajemy się też na cmentarz Santa Ifigenia, by z bliska zobaczyć miejsce spoczynku dwóch wielkich Kubańczyków: Jose Martiego- XIX-wiecznego poetę i przywódcę ruchu niepodległościowego oraz świeżo pochowanego Castro. Grób tego ostatniego to w rzeczywistości wielki głaz ze skromną tablicą

**spluczka nie działa (a jest to powszechne zjawisko na Kubie). Skorzystanie z przybytku słono turystę kosztuje (0,5- do 1\$ lub Euro) i lepiej nie próbować uczynić tego bez uiszczenia opłaty, bo panie bywają nerwowe.** Nieprzewidziane wydatki na toaletę uszczupliły nasz budżet, pocieszailiśmy się jednak myślą, że w ten sposób wsparliśmy prywatną inicjatywę w komunistycznym kraju.

## W kubańskim Sopocie

Wielkanoc spędzamy na lotnisku w Santiago de Cuba. Jak to tutaj bywa, samolot do Hawany ma spore opóźnienie, musimy się więc uzbroić w cierpliwość. Po niemal dwóch tygodniach przyzwyczailiśmy się, że pośpiech na Kubie nie ma sensu, wszystko w swoim czasie w końcu się rozwiąże. Z papieru odpakowujemy jajeczko-jedyny świąteczny akcent naszego śniadania i czekamy, czekamy, czekamy. **Z Hawany ruszamy do Varadero-kubańskiego Sopotu w wersji maxi.** Wszędzie nieprzebrana masa turystów, głównie podchmielonych Kanadyjczyków, dla których Kuba jest tym, czym dla nas Chorwacja lub Bułgaria. Autochtoni nie mają wstępu na plażę Varadero. Hotele to ogromne kolosy, gdzie dojście z pokoju na śniadanie liczy się niekiedy w ki-

lometrach. Każdy z tych olbrzymów zapewnia wszystko, co przeciętnemu turyście na wakacjach jest potrzebne – bary, dyskoteki, restauracje z kuchnią najdalszych zakątków globu, sklepy spożywcze i z souvenirami. W zasadzie nie ma potrzeby wyściubiania nosa poza budynek, dlatego też wielu turystów prawdziwej Kuby nie pozna. Samo Varadero też nie skłania do zwiedzania, dominują atrakcje i tandetne pamiątki produkcji chińskiej, jakich pełno w większości kurortów na świecie. Wypoczynek w takim miejscu to prawdziwa udręka dla kogoś, komu leżenie na plaży brzydnie po godzinie.

**Większość turystów postrzega Kubę jako zacofany skansen tropikalnego komunizmu wymagający kolejnych rewolucyjnych zmian. Jest to kraj ludzi biednych ale szczęśliwych, nie przesiąkniętych manią posiadania i gromadzenia, upatrujących radość w tańcu i muzyce zakrapianej dobrym rumem. Niektórzy twierdzą, że owo idylliczne muzeum wkrótce ulegnie żarłocznemu kapitalizmowi, inni zaś, że system jest tak mocno zakorzeniony w umysłach jego mieszkańców, że żadnych znaczących zmian w najbliższej przyszłości nie należy się spodziewać. Tak czy siak, Kubę warto odwiedzić, nie ograniczając się jedynie do plaż i kombinatów Varadero.**

ANNA DOMINIK-KRUPA

## LUDZIE

# Pasja jest tym, co wyjątkowość czło



W Japonii przywdział kimono



Poznał egzotykę krajów Ameryki Środkowej i Południowej

**Maciej Zaremba – nasz wieloletni prezes /obecnie prezes honorowy/, główny „sprawca” reaktywacji naszego oddziału po wieloletnim niebycie, przewodnik i podróżnik. W odbywającym się od 1998 r. plebiscycie Wielkie Odkrywanie Małopolski, w tegorocznej edycji uzyskał największą liczbę głosów w kategorii przewodnik turystyczny i otrzymał tytuł Przewodnika Roku podczas Małopolskich Obchodów Światowego Dnia Turystyki.**

**Z**wiedził niemal całą Europę. W Azji spacerował po chińskim murze, był w słynnym klasztorze Szolín, wędrował po Himalajach, a w Nepalu poczuł atmosferę wielkich wypraw na himalajskie ośmiotysięczniki.

W Japonii przywdział kimono, odwiedził Ziemię Biblijną i kraje Dalekiego Wschodu. W Australii zaprzyjaźnił się z kangurami, w Afryce poznał życie i kulturę egzotycznych

plemion oraz zdobył Kilimandżaro. Na brazylijskich plażach podziwiał urodę latynoskich dziewczyn. Poznał egzotykę krajów Ameryki Środkowej i Południowej oraz ogrom wodospadu Niagara.

Maciej Zaremba jest przewodnikiem od 1968 r. i niedługo będzie obchodził 50-lecie pracy przewodnika i pilota wycieczek.

## **Podróże to Twoja pasja. Skąd się wzięła? Czy w dzieciństwie myślałeś o podróżach?**

– Moje dzieciństwo przypadło na okres głębokiego komunizmu. Nie było mowy o wyjazdach na tzw. Zachód, a i wyjazdy do innych komunistycznych krajów były rzadkością. Pozostawało więc podróżowanie „palcem po mapie”, czy czytanie książek podróżniczych, które zaczęły się ukazywać w połowie lat 50-tych. „Dzieci kapitana Granta”, „W 80 dni dookoła świata”, „Tajemnicza wyspa” czy inne książki Juliusza Verne’a czytałem wielokrotnie. W myślach wcielałem się

# określa wieka

w ich bohaterów, przeżywałem ich przygody. Dzięki tym książkom poznałem lepiej geografę, która była moim ulubionym przedmiotem w szkole. Oczywiście zdawałem sobie wówczas sprawę, że moje marzenia o podróżach są nierealne.

## **Od zawsze pracowałeś w turystyce, czyli łączyłeś pasję z pracą. Jak było z wyjazdami zagranicznymi, gdy zaczynałeś pracę w tej branży?**

– Trochę ruszyło się w latach 60-tych, kiedy po raz pierwszy wyjechałem do Czechosłowacji. Gdy w maju 1968 roku zacząłem pracować w „Gromadzie”, rozpoczęły się moje częste wyjazdy w charakterze przewodnika. Po kilkadziesiąt razy w roku w przygraniczny Pas Konwencji w Czechosłowacji, oraz po kilkanaście razy w roku do Budapesztu oraz Berlina i Drezna. Pierwszy mój wyjazd na Zachód to 1978 rok, dzięki promesie na zakup 130 dolarów, którą otrzymałem z Urzędu Wojewódzkiego. Promesa taka upoważniała od odebrania paszportu. W październiku wyjechałem więc na 5 dni do Wiednia moim świeżo odebrany maluchem. Ponieważ najtańszy nocleg w hotelu wynosił tyle, co moja miesięczna pensja, cztery noce spędziłem w wymienionym maluchu. W 80-tych latach udało mi się wyjechać jeszcze do Turcji, Hamburga i Kopenhagi oraz na pielgrzymkę do Francji i Włoch, co było wówczas dla mnie wyprawą życia. Myślałem wtedy, że już nigdy więcej czegoś tak ciekawego nie zobaczę. No, ale gdy w 1991 roku zaczęto znosić wizy dla Polaków, worek z wyjazdami się otworzył.

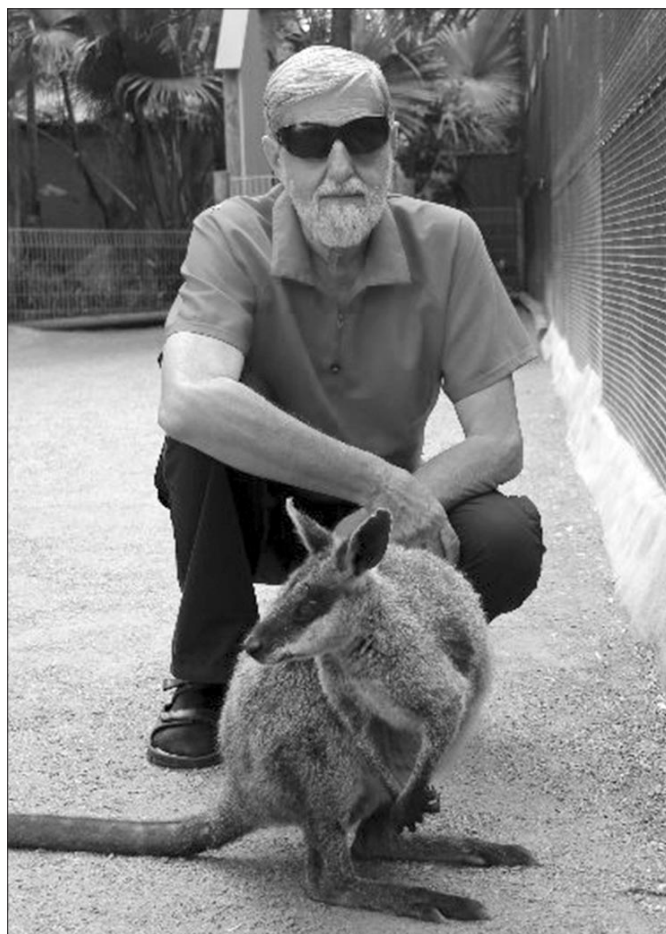
## **Jakie kontynenty i kraje odwiedziłeś? Czy są jeszcze miejsca, które chciałbyś zobaczyć?**

– Dzięki mojej pracy przewodnickiej udało mi się poznać prawie całą Europę. Nie byłem tylko w Islandii. Natomiast wyjazdy egzotyczne stały się możliwe dzięki temu, że przeznaczałem na nie wszystkie pieniądze zarobione na przewodnictwie. Wyjeżdżałem na ogół w małych grupach lub nawet sam, tak jak to miało miejsce w wypadku Nepalu i Indii. Podsumowując: byłem dotychczas łącznie w 107 krajach na wszystkich 6 kontynentach, poza Antarktydą.

A co jeszcze chciałbym zobaczyć? Życie jest krótkie a świat jest wielki i znajduje się na nim mnóstwo turystycznych atrakcji, więc nawet nie próbuję stworzyć takiej listy marzeń.

## **Jaka wyprawa była dla Ciebie najważniejsza?**

– Otóż prawie każdy wyjazd wnosi coś nowego. Nawet jeżeli do Wiednia przyjeżdżam pewnie po raz 150-ty, to zawsze wypatrzę coś nowego, zawsze się czymś zachwycę. Ale wracając do pytania, myślę że musiałbym wymienić kilka takich wyjazdów. Największe przeżycie duchowe to na pewno Ziemia Święta gdzie byłem dwukrotnie, przeżycie kulturowe to objazd Grecji, kolebki naszej cywilizacji, egzotyka to Tanzania połączona ze zwiedzeniem czterech parków narodowych oraz wejściem na najwyższy szczyt Afryki czyli na Kilimandżaro. Potem byłem oczywiście w dziesiątkach innych egzotycznych miejsc, ale jednak Tanzania była pierwsza z nich. No i jak to kiedyś w jednym z wywiadów powiedziałem – „wyprawa marzeń”, czyli Himalaje, które są czymś w rodzaju sanktuarium dla turysty górskiego czy raczej wysokogórskiego za jakiego się uważam. Byłem tam przez cztery tygodnie, głównie w rejonie Mount Everestu i Annapurny. Łączyłem wspinaczkę zdobywając trzy prawie sześciotysięczne szczyty ze zwiedzaniem wspaniałych, budzących najwyższy podziw zabytków Nepalu. Mimo, że minęło od tego czasu już 12 lat, to nawet dzisiaj z pamięci potrafię odtworzyć każdy dzień pobytu w tym kraju. Zapamiętałem powiedzenie które używają Nepalczycy – „idąc w góry, idziesz do swojej matki”.



W Australii zaprzyjaźnił się z kangurami

## LUDZIE

### **Odwiedziłeś wiele krajów i miast o długiej historii, pełnych niezwykłych zabytków, ale też i takich emanujących egzotyką lub niewiarygodnym położeniem. Które z nich uważasz za najpiękniejsze?**

– To nie jest sport, gdzie można wszystko zmierzyć czy zważyć. Są oczywiście miasta które podobają mi się więcej niż inne. I tak bez ustalania kolejności mógłbym chyba wymienić np. Patan i Bhaktapur w Nepalu, Phnom Penh w Kambodży, Antiquę w Gwatemali, Granadę w Nikaragui, Narę w Japonii czy Nowy Jork, a w Europie Carcassonne, Dubrownik, Wenecję, Florencję czy Wiedeń. Kraje to chyba Nowa Zelandia, Japonia, Peru a w Europie Chorwacja oraz kraje alpejskie, a przede wszystkim Szwajcaria.

### **Jakie miejsca zaliczane do cudów świata, zarówno tych będących wytworem człowieka jak i tych stworzonych przez naturę, zwiedziłeś?**

– Co do obiektów to miałem szczęście zobaczyć wszystkie 7 cudów świata czyli Wielki Mur Chiński, Machu Picchu, Petrę, Chichen Itzę, Pomnik Chrystusa w Rio de Janeiro, Koloseum i Tadz Mahal oraz „honorowy” cud czyli piramidy w Gizie.

A cuda przyrody? Miałem możliwość zobaczenia słynnych wodospadów – Iguazu, Wiktorii czy Niagary, nurkowania na Wielkiej Rafie Koralowej, wędrowania wśród czynnych nowozelandzkich gejzerów, odbycia safari na Serengetti czy w kraterze Ngoro Ngoro, być pod Uluru – świętą górą aborygenów itd., itd.

### **Czego nauczyłeś się podróżując po świecie? Jak Ci to pomogło w pracy przewodnickiej?**

– Bodaj Umberto Eco powiedział, że kto podróżuje, ten żyje dwa razy. To mówi wszystko. Powszechnie spotykamy się też ze stwierdzeniem, że podróże kształcą. To oczywiście również racja. Ale podróże to nie tylko zwiedzenie jakiegoś zamku czy kościoła lub oglądnięcie wodospadu. Zdobywamy nie tylko wiedzę historyczną czy geograficzną. To poznawanie świata w szerszym wymiarze. Poznajemy ludzi o innej kulturze, uczymy się ich rozumieć a więc tolerancji. Poznajemy ich tradycje. Człowiek staje się bardziej otwarty. Ta wiedza później wielokrotnie się przydaje w naszym codziennym życiu. Nic tak nie wzbogaca człowieka jak podróże. No i również bardzo ważna sprawa. Paradoksalnie podczas podróży lepiej poznajemy siebie. Widzimy jak reagujemy na różnego rodzaju niespodzianki czy trudne sytuacje i wyciągamy z tego wnioski. No i bardzo ważne są wspomnienia. Nikt ich nam nie odbierze. Wspomnienia zawarte są również w robionych przeze mnie zdjęciach, Moja galeria liczy prawie 25 tysięcy fotografii. Część z nich dostępna jest na stronie internetowej nowosądeckiego PTT.

### **W czasie wieloletniej pracy w turystyce doświadczyłeś wielu sytuacji, trudnych czy przeciwnie – humorystycznych, które wiele Cię nauczyły. Opowiedz nam o tych anegdotycznych wydarzeniach, historiach.**

– Muszę powiedzieć, że mam szczęście do klientów, choć w tej masie turystów, która w ciągu kilkudziesięciu lat przeszła przez moje ręce, czasem zdarzy się ktoś mający w nosie program, całą grupę czy mnie. Zwykle udaje mi się kogoś takiego „spacyfikować”, oczywiście nie fizycznie. Również bardzo nieliczne „niespodzianki” ze strony kontrahentów załatwiam w ten sposób, że klienci zwykle nawet nie zauważają, że coś było nie tak. Czasem bywały momenty dramatyczne, jak lądowanie na najbardziej niebezpiecznym lotnisku świata w Lukli, gdzie pas startowy zaczyna się 170 m przed pionową ścianą skalną. Odbyło się to tak szybko, że nie potrafiłem się nawet przestraszyć. W fotel samolociku wcisnął mnie tylko wrzask kilkunastu Angielek

*– Czasem bywały momenty dramatyczne, jak lądowanie na najbardziej niebezpiecznym lotnisku świata w Lukli, gdzie pas startowy zaczyna się 170 m przed pionową ścianą skalną. Odbyło się to tak szybko, że nie potrafiłem się nawet przestraszyć.*

które siedziały za mną. Wolałbym mówić o momentach zabawnych, których oczywiście nie brakuje nigdy. Jak chociażby problem pewnego małżeństwa, które zapomniało w Sofii nazwy naszego hotelu, a która brzmiała „Pliska”. Uparcie pytali przechodniów o hotel „Koniak”. Na miejsce trafili dopiero nad ranem, gdy jakiś niezbyt trzeźwy, ale jednak rozgarnięty Bułgar skojarzył te dwie nazwy i skierował ich pod właściwy adres. Inne zdarzenie miało miejsce niedawno w Trogirze, gdy oglądaliśmy plenerowy występ chorwackiego zespołu śpiewającego a capella. W momencie gdy śpiewacy w nagły sposób zakończyli piosenkę, w tej samej sekundzie rozległ się głośny, ale pełen podziwu i chyba też tęsknoty damski okrzyk: „ale ciachaaa”. Tak krzyknęła 85-letnia turystka z mojej grupy do ucha koleżance, ale ponieważ w tym właśnie momencie zapadła cisza, usłyszeli to wszyscy. Grupa turlała się ze śmiechu a tylko panowie z zespołu, rzeczywiście wszyscy bardzo przystojni, mieli niewyraźne miny. Uśmiechnęli się dopiero gdy powiedziałem im, że tej pani bardzo spodobał się ich śpiew i dodałem już od siebie, że jeden z nich przypomina jej wnuka. Pani jeszcze cała czerwona na twarzy, otrzymała od nich w prezencie płytę kompaktową. Zdarzały się też przyjemne niespodzianki. Np. w Gruzji w hotelach każdy w recepcji dostawał butelkę wina razem z kluczem do pokoju. Takich historii przez lata nabierało się trochę i jest to temat na oddzielną rozmowę.

**Dziękuję za rozmowę**

MARIA DOMINIK

# Bonawentura znaczy „dobry los, pomysłność”

**Stary Sącz w ostatnich latach zasłynął za sprawą dwóch festiwali o zasięgu ponadregionalnym: Bonawentury i Pannonicy. Ich pomysłodawcą i organizatorem jest Wojciech Knapik – dyrektor CKiS w Starym Sączu. Oba festiwale, noworoczne koncerty, liczne spektakle teatralne i koncerty w Kinie Sokół sprawiły, że Stary Sącz stał się znany na kulturalnej mapie Polski.**

## Festiwal Miłośników Podróży i Przygody „Bonawentura”

**P**ochodzi z Tarnowa. Studiował geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jego pasją są podróże. Ukończył także studia podyplomowe z zarządzania zasobami ludzkimi w nowosądeckiej WSB. Starosądeczanom znany był wcześniej ze swojej działalności w Fundacji Rozwoju Ziemi Górskich, w której był prezesem oraz w Stowarzyszeniu LGD „Brama Beskidu”. Jest też autorem oraz współautorem licznych opracowań oraz ekspertyz z zakresu rozwoju lokalnego pisanych na zlecenie kilku samorządów w południowo-wschodniej Polsce.

Festiwal Miłośników Podróży i Przygody „Bonawentura” organizowany jest w starosądeckim kinie „Sokół” od 2011 roku, zawsze w marcu. W 2018 roku bę-



dzie zatem już ósma edycja tej trzydniowej imprezy. Bonawentura znaczy „dobry los, pomysłność”. Patronem festiwalu jest tragicznie zmarły w 2010 roku brat Wojciecha, również geograf

i podróżnik, menedżer i działacz organizacji pozarządowych Tomasz Bonawentura Knapik.

„...Fenomenem tego festiwalu jest nienadęta atmosfera. Nie ma nic gorsze-

go, jak „spięte tyłki” organizatorów, co emanuje przez prelegentów na całą publiczność. OK, byli sponsorzy, były media, ale to było jakoś w tle. W centrum było czuć pasję, inspirację, energię i przede wszystkim różnorodność tematów i osobowości – każdy mógł znaleźć coś dla siebie...” Tak o festiwalu na swoim blogu LosWiaheros.pl napisali Alicja i Andrzej Budnik prezentujący swoje podróże na Bonawenturze w 2013 r.

### **Proszę przybliżyć nam osobę brata i opowiedzieć o waszych wspólnych działaniach i podróżach.**

– Tomek to po prostu Tomek. Ciężko jest tak w paru zdaniach opowiedzieć o kimś, kogo większość czytelników nie znało. W wypadku rowerowym zginął bardzo młodo w wieku 37 lat. Przez przeszło piętnaście lat dzieliliśmy pasję wspólnego podróżowania. Były to wyprawy dalekie jak Kilimandżaro czy Chimborazo i bliskie jak góry Marmaroskie, nasz ostatni wspólny wypad. Myślę, że byliśmy stworzeni do tego, żeby nawzajem się inspirować i nakręcać do życia. Skończyliśmy te same studia na tej samej uczelni, mieliśmy podobne pasje i zainteresowania a nawet poczucie humoru. Nawet droga zawodowa układała nam się podobnie mimo różnicy 7 lat (brat był ode mnie młodszy). Najpierw po studiach kariera w spółkach giełdowych (sprzedaż i marketing), potem wspólna firma, która świadczyła doradztwo z planowania strategicznego głównie dla samorządów w pierwszych latach po akcesji do Unii Europejskiej oraz realizacja wspólnych projektów w dziedzinie rozwoju lokalnego i działalności społeczna. Gdy Tomek zginął, to tak naprawdę dodało do mnie, że miałem wspaniałego brata i poczułem, że jego odejście spowodowało wielką wyrwę w moim życiu. Wtedy wpadłem na pomysł zorganizowania festiwalu podróżniczego jego imienia (Bonawentura to drugie imię mojego brata, które podobno podsunął mojemu tacie biskup Ablewicz). Pomysł festiwalu z kolei był pokłosiem klubu „El Mundo” i spotkań podróżniczych, które wspólnie z bratem

organizowaliśmy przed kilkunastu laty w Kawiarni Prowincjonalnej jeszcze na rogu Szwedzkiej i Wąsowiczów. Przyznam się, że pierwszy festiwal Bonawentura był dla mnie rodzajem terapii w ciężkim okresie żałoby. Teraz festiwal żyje już własnym życiem, ma swoją stałą publiczność i mam nadzieję, że na trwale wpisał się w pejzaż Sądecki. Jest tak radosny, że pewnie mało kto wie, że jest to festiwal organizowany pro memoria (dla pamięci).

### **Jaką publiczność przyciąga Bonawentura i jakie przeżycia jej oferuje?**

– Zacznę od tego, że publiczność naprawdę wspaniała. Bonawentura to miejsce spotkań ludzi ciekawych świata. W dzisiejszych czasach podróżuje każdy, albo niemal każdy. Wiem, że nasza publiczność trafia na ten festiwal w poszukiwaniu inspiracji. Bardzo dużo osób marzy o podróżowaniu i takie spotkania oko w oko z osobami, które bez wielkich pieniędzy czy wsparcia sponsorów realizują swoje podróżnicze pasje, pokazuje, że tak naprawdę świat w dzisiejszych czasach jest na wyciągnięcie ręki. Poznajemy świat kolorowy i na ogół bardzo przyjazny, który w opowieściach podróżników jest zupełnie inny niż świat pokazywany w mediach.

### **Jak udaje się stworzyć „nienadętą” atmosferę, przyjazną zarówno prelegentom jak i publiczności?**

– Nie wiem. Być może po prostu jesteśmy „nienadęci”.

### **Festiwal ma wielu wielbicieli wśród członków PTT. Pojawiają się na nim co roku z tym samym entuzjazmem i ciekawością. Kogo będą mogli posłuchać i jakie strony świata obejrzeć podczas tegorocznej edycji?**

– Bardzo się cieszę, że tak jest. Uważam, że szeroko rozumiane środowisko górskie, turystyczne, przewodnickie, to potężny kapitał społeczny Nowego Sącza i regionu. To naturalne, że od czasu do czasu nasze drogi się gdzieś przecinają, a to na górskim szlaku, a to na Festiwalu Podróży i Przygody Bonawentura

w Starym Sączu. Nie widzę zresztą dużej różnicy w dalekich wyprawach, a wypadach na Rohacze. Dla mnie są to odcienie tej samej pasji życia i ciekawości świata. Co do programu, to niestety nie mogę zdradzać szczegółów. Wszystko dlatego, że pierwsza partia karnetów sprzedawana jest dla stałej publiczności, która kupuje je „w ciemno” bez znajomości prelegentów. To już taka tradycja i dbamy o to, żeby nie popsuć nikomu tej specyficznej „zabawy”.

### **Gdzie można kupić karnety i ile kosztują?**

– Sprzedaż biletów rozpoczynamy z reguły z około 2 miesięcznym wyprzedzeniem, czyli około połowy stycznia. Każdy może je kupić w internecie w tym samym miejscu, gdzie sprzedajemy bilety na wszystkie imprezy organizowane przez Centrum Kultury i Sztuki im. Ady Sari w Starym Sączu czyli ekobilet.pl/ckis a dla tradycjonalistów funkcjonuje punkt sprzedaży w informacji turystycznej w Starym Sączu, Rynek 5. Karnety kosztować będą 80 zł, natomiast bilety na kilkugodzinne bloki od 20 do 35 zł. Istotna może być też informacja, że podczas ostatnich edycji festiwalu zabrakło biletów w kasie przy wejściu, dlatego zdecydowanie polecam kupno w przedsprzedaży.

## Pannonica Folk Festival

Od 2013 roku, za sprawą tego samego człowieka, czyli Wojtka Knapika, w ostatni weekend sierpnia, na łące w Barcicach rozbrzmiewają bałkańskie rytmy. Etniczna muzyka „Pannonii”, czyli regionu będącego niegdyś prowincją rzymską a obejmującego dzisiejsze tereny Węgier, Serbii, Chorwacji, Bośni i Hercegowiny oraz Słowacji, rozpala ogień w sercach słuchaczy. Pannonica Folk Festival to coś więcej niż tylko żywiolowy, plenerowy festiwal muzyczny.



**P**oza występami scenicznymi polskich i zagranicznych gwiazd, mocną stroną imprezy jest tętniąca życiem wioska festiwalowa, gdzie na polu namiotowym zamieszkuje kilka tysięcy uczestników i gdzie przenikają się różnorodne formy animacji i kreacji skierowane również do dzieci. Stąd wynika ogromna popularność festiwalu wśród rodzin z dziećmi.

Impreza się rozrasta, z roku na rok przyjeżdża coraz więcej ludzi, co widać chociażby po rozmiarach parkingu, który w 2017 roku zajął już wszystkie pola pomiędzy szosą i wioską festiwalową.

### Skąd pomysł na taki festiwal?

– Od dawna marzył mi się festiwal, który wyjdzie poza nasze lokalne opłotki, rozbudzi emocje, stanie się magnesem ściągającym ludzi z najdalszych zakątków Polski i z zagranicy. Stanie się marką i będzie kołem zamachowym dla różnych inicjatyw lokalnych. Niestety działając w sektorze pozarządowym, bezskutecznie starałem się pozyskać mecenasa dla tego pomysłu, gdy w tym

samym czasie na Sądecczyźnie całkiem spore fundusze lokowane były na pomysły oględnie mówiąc dość przypadkowe, bez większego potencjału.

Miejsce i sam pomysł na festiwal były w zasadzie drugorzędne. To mógłby równie dobrze być festiwal polegający na robieniu wiklinowych koszyków czy pluciu pestką na odległość. Ale ponieważ nie umiem robić wiklinowych koszyków, a od jakiś 20 lat słucham i pokochałem różne odmiany bałkańskiej i cygańskiej muzyki to pomyślałem, że mógłbym spróbować zarazić miłością do tych dźwięków innych ludzi i stworzyć festiwal, na którym co roku będą się spotykać a przez pozostałe 362 dni w roku będą za nim tęsknić.

Obejmując stery kultury w Starym Sączu upewniłem się najpierw, że burmistrz Jacek Lelek nie będzie mi przeszkadzał w realizacji tego pomysłu (dopiero niedawno dowiedziałem się, że sam nie za bardzo wierzył w jego powodzenie).

Barcice to również był przypadek. W okolicy Świąt Bożego Narodzenia w 2012 roku szukałem miejsca na zor-

ganizowanie koncertu kolęd i po raz pierwszy usłyszałem o „Stodole w Odnozinie”. Pojechałem tam, żeby na własne oczy sprawdzić to miejsce. Gdy już pokonałem śnieżne zasy i dotarłem na miejsce, to dopadła mnie jakaś abstrakcyjna wizja słonecznego lata i paru tysięcy namiotów rozstawionych nad Popradem i ludzi bawiących się pod sceną do muzyki bałkańskich tręb, jak na festiwalu w serbskiej Gucy, o którym wiele słyszałem, a na którym jeszcze wówczas sam nie byłem. Parę tygodni później wraz z moimi współpracownikami zabrałem się za organizację pierwszej Pannoniki.

Do dziś uważam, że podobny sukces jak Pannonika można osiągnąć w innych miejscach z kompletnie różnymi pomysłami, trzeba tylko się skupić na celu i zacząć skutecznie adresować ten pomysł do zainteresowanych osób. Najtrudniej zawsze jest przetrwać ciężkie początki.

### Ile zespołów wystąpiło do tej pory w krzakach nad Popradem budząc entuzjazm słuchaczy z całej Polski i coraz liczniejszej grupy zagranicznych?

– Początkowo na festiwalu prezentowaliśmy osiem potem dziewięć, a ostatnio dwanaście zespołów czyli cztery zespoły każdego dnia. W ciągu 5 zorganizowanych dotąd edycji wystąpiło do tej pory 50 zespołów. Ale tak naprawdę nie ilość się liczy, tylko dobór i jakość zespołów, rozplanowanie koncertów i zaangażowanie publiczności.

A w ostatecznym rozrachunku liczą się emocje i wspomnienia, które ludzie zabierają z Barcic do swoich domów i do swojego życia.

### Jak udaje się zapanować nad tym kolorowym tłumem, kto pomaga przy organizacji imprezy?

– Po pierwsze ten kolorowy tłum to bardzo fajni, przyjaźni i dobrze wychowani ludzie, którzy w dużej mierze współtworzą ten festiwal. Cała tajemnica polega na tym, że organizując festiwal taki jak nasz w takim, a nie innym miej-

scu, publiczność w naturalny sposób jest selekcjonowana. A wtedy o wiele łatwiej zapanować nad 5-cio tysięczną, roztańczoną i kulturalnie bawiącą się dobrze wyselekcjonowaną festiwalową publicznością niż dajmy na to nad garstką, nastawionych na rozróbę kibiców. Przez pierwsze lata można powiedzieć, że całkiem dobrze radziliśmy sobie sami. Temat ogarniała nasza własna ekipa wolontariuszy z „wolontariatu kultury” przy starosądeckim centrum kultury. Wraz z rozrostem festiwalu, gdy przekroczyliśmy pewną skalę, musieliśmy się już podporządkować wymogom ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych. Zatrudniamy profesjonalną ochronę, zabezpieczamy teren przed wstępem osób niepożądanych. Naszą ekipę, której członkami jest kilkusobowa załoga centrum kultury, przy organizacji festiwalu zasiłają osoby z zewnątrz: zaprzyjaźnieni z festiwalem społecznicy, ludzie mediów i kultury. Współpracujemy z wieloma kooperantami, nie tylko w formie komercyjnej. Nasza rosnąca wraz z rozrostem festiwalu ekipa wolontariuszy, dalej ma fundamentalne znaczenie przy organizacji. Do stałej ekipy dołączają również wolontariusze z innych regionów Polski, chcący włączyć się w jego organizację, a zadań jest naprawdę mnóstwo i z każdym rokiem coraz więcej. Na szczęście, my też z roku na rok mamy coraz większe doświadczenie.

### **Czy nie zabraknie miejsca dla wszystkich chętnych w kolejnych latach? Jakie są plany w tym zakresie?**

– Jedną z podstawowych umiejętności w zarządzaniu festiwalem, który bardzo dynamicznie się rozwija, polega na zarządzaniu jego wielkością. Zdajemy sobie sprawę, że dla wielu ludzi kameralność naszego festiwalu była we wcześniejszych latach jego ważnym atutem. Ale szczegółowo monitorujemy satysfakcję uczestników Pannoniki i okazuje się, że na razie dobrze utrzymujemy równowagę w tym zakresie. Jesienią 2017 roku wykonaliśmy pewne działania, które pomogą zwiększyć pojemność ekologiczną wioski festiwalowej w Barcicach nad Popradem i równocześnie zapewnić przestrzeń do rozwoju na najbliższe kilka lat. Dzięki przychylności kilku sąsiadów udało nam się wydzielnić kolejne 4 ha pięknych terenów w bezpośrednim sąsiedztwie dotychczasowej wioski festiwalowej, co pomoże nam jeszcze efektywniej zorganizować tę wioskę i poprawić komfort wypoczynku ludzi, którzy nie tylko uczestniczą w koncertach, ale przed wszystkim mieszkają tu przez trzy dni.

### **Jak się tworzy produkty kultury o zasięgu ponadregionalnym w prowincjonalnym Starym Sączu?**

– W zasadzie to recepta jest dość prosta; zamiast łatwych rozwiązań, konsekwentna, pozytywna harówka.

Oczywiście łatwiej robi się bezpłatne festyny, ale... żarty się kończą, a zaczynają poważne wyzwania (ale też i prawdziwy „produkt kulturalny”), gdy trzeba z kieszeni wyciągnąć parę złotych na bilet.

Nie oszukujmy się sporo ludzi do dziś uważa, że wstęp na imprezy kulturalne powinien być bezpłatny. Mówią o „bezpłatnej kulturze”, ale to niestety ciągle w naszym regionie ma się dobrze, podtrzymywany często przez niektórych polityków, lubiących stroić się (zwłaszcza w okolicy wyborów) w szaty Świętego Mikołaja. Tymczasem dla mnie tak zwana „bezpłatna kultura” to przyczyna bylejakości, niskich wymagań zarówno względem publiczności jak siebie (czyli organizatorów) i ciągłego deficytu pieniędzy.

I odwrotnie; jeśli ma się publiczność gotową zapłacić za bilet, to ma się wszystko. Wtedy można snuć plany, rozwijać się, marzyć.

Byłoby o wiele łatwiej nie tylko nam, ale i wszystkim innym instytucjom i organizacjom działającym na polu kultury w naszym regionie kreować markowe produkty o zasięgu ponadregionalnym, gdybyśmy połączyli siły w zakresie promowania nawyku kupowania biletów na te imprezy, ograniczając jednocześnie stosowaną powszechnie ich bezpłatną nadpodaż. Kontrowersyjne, prawda?

Ale Pani pyta, a ja odpowiadam tak jak myślę...

Rozmawiała **MARIA DOMINIK**

## **WITAMY W NASZYM GRONIE**

### **W 2017 roku do PTT „Beskid” O/Nowy Sącz przystąpiło 26 nowych członków, otrzymując legitymację PTT:**

1. Michalik Beata
2. Górka Gabriela
3. Mika Aldona
4. Mataczyńska Jolanta
5. Hruby Zenon
6. Jawor Michał
7. Jerzmanowicz Sebastian

8. Fejkiel Dawid
9. Dulak Paweł
10. Gromala Kacper
11. Franczak Agnieszka
12. Śliwa Celina
13. Tokarz Mateusz
14. Iwańska Barbara
15. Papciak Jolanta
16. Papciak Stanisław
17. Tobiasz Edward
18. Bryniarski Jakub

19. Surma Teresa
20. Krzepina Filip

### **Szkolne Koło w Łabowej:**

1. Barnowska Emilia
2. Zaprzelska Julia
3. Maciak Tomasz
4. Laskoń Kacper
5. Borzyński Kacper
6. Malec Patryk



# Szekler, Polak – dwa bratanki

*Gdy przybył do nas z obcych stron,  
Z dalekich krajów rubieży,  
Bem z mowy Węgrów tylko znał  
Dwa słowa: „Naprzód Seklerzy!”*

G. Lamperth, Ojczulek Bem

## **CZASEM BYWA TAK, ŻE JAKIŚ OSOBNIK WIĘCEJ GOTÓW JEST ZROBIĆ DLA OBCEGO KRAJU NIŻ DLA WŁASNEJ OJCZYZNY**

**I**tak Jan (Iwan) Wyhowski, polski szlachcic, któremu dane było dzierżyć buławę hetmańską Kozaków Zaporoskich, oderwał od Królestwa Polskiego olbrzymie tereny na wschodzie, z których utworzył Księstwo Ruskie – jedyne nowożytne państwo ukraińskie przed XX stuleciem, a nawet wymusił na Warszawie jego uznanie oraz obronił jego suwerenność w starciu z Moskalami pod Konotopem. I choć ostatecznie i hetmana, i ukraińskiego państwa pozbyli się sami Kozacy, oddając swoją ojczyznę w niewolę Moskwy, to trudno zaprzeczyć, że Wyhowski musi być postrzegany jako jeden z największych bohaterów Ukrainy („straszący” z pomników za sprawą radzieckich ideologów ludobójca Bohdan Chmielnicki – sprawca wielowiekowej niewoli moskiewskiej – wypada przy nim żałośnie!), podczas gdy w polskiej ojczyźnie jest to postać co najmniej kontrowersyjna.

Podobnym przykładem może być Napoleon Bonaparte (właściwie Buonaparte) – Włoch z Korsyki, który wyniósł Francję do największej potęgi w dziejach, a właśnie pod jego wodzą żołnierze francuskiej rewolucji podbijali i podporządkowywali swojej władzy słoneczną Italię (zakładane republiki włoskie miały charakter wybitnie kolaborancki i służyły wyłącznie interesom Paryża, bardziej nawet niż sławna „republika Salò” z czasów hitlerowskich), dopuszczając się tu gwałtów, grabieży i wszelkich możliwych łajdactw. Oddajmy jednak sprawiedliwość korsykańskiemu potworowi, którym straszono angielskie dzieci. Rzeczywiście, ciężko obciążyć go haniebna służba totalitarnej i ludobójczej Pierwszej Republiki francuskiej (w jej imieniu dokonał masakry bezbronnych tłumów w 1795 r., dzięki czemu rozpoczął tak błyskotliwą karierę), ale to właśnie on w końcu ją obalił, a odbudowując autorytarną monarchię i zawierając konkordat przywrócił

Francję na łono kultury europejskiej. Podobnie w Italii – najpierw jako żołdak rewolucji grabił ją i zniewalał, ale później jako król Włoch Napoleon I niemało przyczynił się do jej zjednoczenia. Nie zmienia to jednak faktu, że ów kontrowersyjny Europejczyk większym był Francuzem niżli Włochem...

Powiedzmy też, że Napoleon III lepiej mówił po niemiecku niż francusku, ale to on zaczął odbudowywać francuskie imperium kolonialne, stworzył nowoczesny Paryż, przyłączył do II Cesarstwa Sabaudię i Niceę, zaś po wojnie krymskiej oraz bataliach pod Magentą i Solferino zapewnił Francji kruchą co prawda, ale wyraźną preponderację w Europie, a z Niemcami nie tyle rozmawiał, ile raczej wojował...

Adolf Hitler (właściwie Schickelgruber) był co prawda Niemcem, ale Niemcem austriackim i jako „przybłęda” chciał być bardziej niemiecki od Gustawa (Gustava) Stresemanna i pruskich junkrów razem wziętych. A jak potraktował rodziną Austrię – wiemy wszyscy... Wszak twórcę austrofaszystów, prawicowego dyktatora, kanclerza, führera und feldherra Engelberta Dollfussa, brutalnego prześladowcę komunistów i nazistów (hitlerowców austrofaszystów) zamordowały narodowo-socjalistyczne bojówki, a następnie, już po zbliżeniu niemiecko-włoskim (wcześniej Benito Mussolini groził Berlinowi wojną w wypadku pogwałcenia austriackiej suwerenności) dokonano anshlusu jego kraju do Rzeszy. Można by to jeszcze tłumaczyć jednoczeniem narodu niemieckiego (bo że Austria dała się wyprzeć Prusom z Niemiec, to konsekwencja polityki, a nie etniczno-językowych różnic), tyle że Hitler nie uczynił z Wiednia nowej stolicy Niemiec, tak jak to było w czasie I Rzeszy, ale stworzył z dawnej ziemi Habsburgów (choć ci nie doczekali się wdzięczności Republiki Austriackiej, to z emigracji najgłośniejsi protestowali przeciw anshlussowi) podrzędną Östmark. Tak właśnie Schickelgruber, który wyniósł Niemcy do największej potęgi, potraktował swoją austriacką ojczyznę...

Nie inaczej było i z Józefem (Josifem) Stalinem. Nawet jeśli przyjmiemy – a piszący te słowa skłania się ku takiemu pogładowi – że Związek Radziecki nie był żadną kontynuacją rosyjskiej państwowości, ale okupantem Rosji i okrutnym prześladowcą Rosjan, tworzonym przez niemieckiego agenta – Włodzimierza Iljicza Lenina (bądź co bądź nieprzypadkowo wysłanego do państwa carów przez kajzerowską

Rzeszę) i kosmopolityczną bandę degeneratów narodów rosyjskiego, żydowskiego, polskiego, gruzińskiego czy ukraińskiego, to przecież właśnie Dżugaszwili stworzył największe w dziejach imperium jeśli nawet nie rosyjskie, to rosyjskojęzyczne. A tymczasem jego rodzinna Gruzja zaznała od Sowieców srogiej niewoli i okrutnych prześladowań, które w Sakartwelo swoje apogeum miały właśnie w brutalnej dekadzie 1936-1946...

Polak Wyhowski, tworzący państwo ukraińskie kosztem połowy Królestwa Polskiego, Włoch Bonaparte, zniewalający i grabiący na czele wojsk francuskich Italię, Austriak Hitler, podbijający w imieniu Niemiec Austrię (powtórzmy, że nie rzecz w zjednoczeniu niemieckich ziem, ale potraktowaniu kraju Babenbergów i Habsburgów po anchlussie) i Gruzin Stalin, tworzący rosyjskojęzyczne imperium i terroryzujący w jego ramach Gruzję – to obrazki znamienne, ale niejedyne.

### **CZASEM JEDNAK ZDARZA SIĘ PRZECIEŻ I TAK, ŻE KTOŚ NIE TYLKO LEPIJ TRAKTUJE KRAJ OBCY OD OJCZYSTEGO, ALÉ ZASŁUŻENIE STA JE SIĘ BOHATEREM DWÓCH LUB NAWET KILKU NARODÓW**

I tyczy się to bynajmniej nie monarchów, panujących jednocześnie w więcej niż jednym kraju, gdzie świetnym przykładem byłyby niezwykle zasłużony dla polsko-litewskiej Rzeczypospolitej Węgier z Siedmiogrodu, Stefan I Batory, pamiętający i o interesie swojego rodzinnego kraju, bowiem dla autorytarnego władcy dziedzicznego (co prawda, nasz drogi István akurat w Polsce i na Litwie takim nie był, ale takim właśnie chciał być) – jak w rodzinnej firmie – pozostawienie kraju swemu następcy w świetnym stanie jest oczywistym obowiązkiem, a nie żadną zasługą. Tyczy się raczej tych, którzy nie zapominając o służbie swojej ojczyźnie z własnej woli wspierają inną, jak nasz „dyżurny” bohater dwóch narodów – zasłużony dla niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki generał Tadeusz Kościuszko, zarazem w Polsce bojownik o wolność, terytorialną integralność i suwerenność, puczysta, wybitny dyktator i wódz.

Najwięcej pola do popisu aby wepchać się do panteonów narodowych innych ludów mieli polscy bojownicy doby walk za naszą i waszą wolność. Raz na czas zrobili jakieś powstanie w samej Polsce, innym razem tam, gdzie się tylko dało. Czasami były to eskapady nonsensowne, jak te, które kazały Polakom walczyć o Republikę Rzymską czy przewodzić generałowi Ludwikowi Mierosławskiemu rewolucji na Sycylii: miały się nijak do autentycznych interesów narodowych Lechitów, marnowały polskie siły w podrzędnych awanturach, psuły opinię o Polakach w ówczesnej Europie, a sprawy o jakie walczone były co najmniej kontrowersyjne (co więcej, spragnione krwi kolejna pokolenia rewolucjonistów wysługiwać się będą brutalnemu terrorowi komunistycznemu w czasie wojen domowych w Rosji i Hiszpanii, co chyba w dziejach narodu polskiego uważać należy za największą hańbę). W innych przypadkach jednak – jak boje u boku Sardyjczyków

z Austrią – nie tylko zapewniały wdzięczność narodów, nie tylko pozwalały dać upust gniewowi na zaborcę, ale i realnie go osłabiały, co w pewnych okolicznościach mogło w jakiś sposób zaowocować. Trudno nie cenić za to generała Wojciecha Chrzanowskiego, za sprawą króla Karola Alberta dowódcę armii sardyńskiej, podobnie jak generałów Franciszka Sznajde i Mierosławskiego, gdy zaangażowali się w idiotyczne co prawda walki w Palatynacie i Badenii, ale oparte na konkretnej obietnicy wsparcia przez tamtejszych Niemców sprawy polskiej.

### **„OJCZULEK BEM” I JEGO WALECZNI SZEKLERZY**



Najwspanialej i w największym stylu zasłużył sobie jednak na wdzięczność innych ludów generał Józef Bem. Weteran kampanii napoleońskich i pamiętnej wojny roku 1831, bohater bojów pod Iganiem i Ostrołęką, w 1848 r. włączył się więcej niż aktywnie w narodowowyzwoleńcze powstanie Węgrów przeciw austriackim rządóm. Zasłużony organizator Armii Siedmiogrodzkiej, faktyczny dyktator walczącej Transylwanii i pogromca austriackiego żołdactwa, zakończył ową eskapadę jako wódz naczelny sił węgierskich i uwielbiany przez Madziarów „ojczulek Bem”. W szczególny sposób jego losy spłoty się z losami siedmiogrodzkich Szeklerów vel Seklerów, któ-

rzy dali mu się porwać do zaciętego boju, a którzy sami w sobie stanowią jeden z największych fenomenów Karpat.

*Ojczulek Bem usłyszysz pieśń*

*Nim do ojczyzny wróci*

*„Naprzód, Seklerzy” – jeszcze raz  
swój groźny okrzyk rzuci.*

Sami Szeklerzy (węg. Székelyek), o dość niejasnym pochodzeniu, wywodzili siebie od Attyli i Czaby. Najprawdopodobniej byli ludem tureckim, który osiadł w Transylwanii, aby na polecenie Arpadów strzec węgierskiej ziemi jako „strażnicy granic” (starowęg. szegel). To tłumaczyłoby nie tylko etymologię nazwy, ale i powód dla którego szeklerscy wojownicy – już w XII w. opisywani jako szczerp niezwykle waleczny i wierny – nigdy nie byli uważani za chłopstwo, ale swoisty, odrębny stan, zwolniony z większości feudalnych zobowiązań. Czujnie strzegli więc domniemani synowie huńskich wojowników wschodnich rubieży madziarskiej monarchii, ale na życzenie Stefana II i Gezy II stawiali też czoła Czechom i Austriakom. W 1437 r. zawarto w węgierskiej Transylwanii tzw. unię trzech narodów, które zachować miały w prowincji uprzywilejowaną rolę: Węgrów, Szeklerów i Sasów (potomków niemieckich osadników). Te same trzy grupy etniczne współrzędziły później Księstwem Siedmiogrodzkim, czego poskąpiono tak licznym przecież Rumunom. I Szeklerzy tę pozycję wykorzystali, m.in. mordując w 1599 r... siedmiogrodzkiego księcia Andrzeja Batorego.

Przez stulecia postępowała madziaryzacja Szeklerów. Samozwańczy dziedzice huńskich władców stopniowo stawali się częścią narodu węgierskiego, częścią przy tym nader gorliwą i zawsze gotową oddać życie za swoją madziarską ojczyznę, zachowując wszakże istotną odrębność. Dawnych Szeklerów, czuwających nad obroną węgierskich granic można przyrównać do Kozaków Zaporoskich (w końcu solidnej etnicznej mieszance z przewagą elementów bynajmniej nie polskich), którzy



Najprawdopodobniej byli ludem tureckim, który osiadł w Transylwanii, aby na polecenie Arpadów strzec węgierskiej ziemi jako „strażnicy granic” (starowęg. szegel)

także tworzyli swoisty, zbrojny stan na Kresach Rzeczypospolitej i niemało się jej przysłużyli. Tyle, że Szeklerzy zaskarbili sobie wdzięczność Madziarów, a Zaporozców Warszawa traktowała zazwyczaj mało chwalebnie. Poza tym, siedmiogrodzcy wojownicy, inaczej niż mieszkańcy Dzikich Pól i czarnomorskiego Nizu, stanowili wyraźną wspólnotę etniczną, zawsze też pozostali wierni węgierskiej ojczyźnie i nie wchodzili w konszachty z wrogiem, a i sławę bojową zyskiwali wyłącznie w starciach z uzbrojonymi mężczyznami, a nigdy z kobietami, starcami i dziećmi... Późniejsi, także ci całkiem współczesni, zmadziaryzowani Szeklerzy podobni są nieco do zachodniokarpackich górali, którzy lubo wywodząc się z elementów rumuńsko-bałkańskich, nie tylko ulegli polonizacji, ale i stali się ostoją wiary Piastów oraz kwintesencją polskiego patriotyzmu, poczawszy od nagminnie beletryzowanych walk ze Szwedami, przez powstańców chochołowskich (jego ekonomiczne aspekty niechaj nas teraz nie zajmują) i sławnych kurierów tatrzańskich aż po dziś dzień. Najofiarniejsza służba swojemu narodowi (który „swoim” nie był przecież od zawsze, ale wskutek procesów asymilacyjno-kulturowych i pewnego wyboru), umiłowanie wolności i górskich przestrzeni, poczucie honoru i własnej godności, przebogaty folklor i pieczołowita dbałość o swoje regionalne tradycje i odrębności czyni poniekąd Podhalan odpowiednikiem fenomenu potomków Attyli i Czaby. Fenomenowi, jaki zrodzić mogły tylko otoczone ze wsząd wyniosłymi górami, ludziom na zachwyty przyrody ręką wyrzeźbione zakątki Transylwanii...

Nic dziwnego, że pośród węgierskich grup regionalnych zmadziaryzowani Szeklerzy zajęli miejsce szczególne, wyprzedzając w oryginalności nawet sławnych Hajduków, notabene osadzonych w rejonie Debreczyna przez siedmiogrodzkiego księcia Stefana Bocskaya. Na czym jednak polegał – obok szczególnego statusu w dawnych wiekach i niezwyklej waleczności – ów fenomen szeklerskich górali, jacy rozłożyli się wokół Brassowa (węg. Brassó), Csíkszereda, Székelyudvarhely i Świętego Jerzego (węg. Sepsiszentgyörgy) – najważniejszego ośrodka szeklerskiego folkloru, jacy z właściwym sobie uporem gospodarowali w cieniu wznoszącej się na 1800 m., ukochanej Hargity i na przedpolu Alp Transylwańskich?

Poszukiwacze tajemnic z pewnością nie mogą nadziwić się niezwyklej pismu – rowaszowi (rovásírás), owym „szeklerskim runem”, które w pewnych miejscowościach pozostawało w użyciu aż do połowy XIX stulecia (!). Czy jacykolwiek inni górale karpaccy – sławnych Hucułów nie wyłączając – mogli się pochwalić aż tak głęboko zakorzenioną odrębnością?

W szeklerskiej architekturze charakterystycznym elementem pozostają słupowe nagrobki (kopjafá) oraz misternie rzeźbione, drewniane bramy – podobne do tych z Maramuresz i Spiszu – stanowiące świadectwo kulturowego bogactwa podhargickich górali i niezwyklej zdolności siedmiogrodzkiego cieśli. Ktokolwiek przekracza przepiękną transylwańską bramę, ten staje się gościem Szeklerów, oni zaś zobowiązują się go podjąć i otoczyć opieką...



† ✕ ≠ Λ ⊗ ∫ ∫ † † † † † † † † † † † †  
I H GY G F É E D CS C B Á A

† ✕ ≠ Λ ⊗ ∫ ∫ † † † † † † † † † † † †  
P Ö Ö Ö O NY N M LY L K J Í

† ✕ ≠ Λ ⊗ ∫ ∫ † † † † † † † † † † † †  
ZS Z V Ū Ū Ū Ū U TY T SZ S R



Poszukiwacze tajemnic z pewnością nie mogą nadziwić się niezwykłemu pismu – rowaszowi (rovásírás), owym „szeklerskim runom”, które w pewnych miejscowościach pozostawało w użyciu aż do połowy XIX stulecia (!)

Zasada wzajemności i sąsiedzkiej pomocy obecna jest w kulturze ludowej niezależnie od regionu, ale u Szeklerów przybrała ona charakter swoistego sacrum, które przejawiało się nawet we wspólnym stawianiu domostw, notabene wykonywanych i ozdabianych równie cudnie, co sławne bramy. Podobnie, tkanie przez kobiety lnu – czynność na pozór prozaiczna – tylko na Szeklerszczyźnie nabierała tak magicznego smaku, gdy spożyły ją mgła prastarych opowieści, królujących przy tego typu okazjach. Co szczególnie godne jest uwagi wobec przypisywanej hargickim góralom małowówności...

Do tego dodać należy niezwykłą barwność i ozdobność odświętnych strojów szeklerskich, promieniujących wszystkimi barwami Siedmiogrodu, słynną ceramikę, niezwykle obrzędowe, zachwycające oko tańce oraz poruszającą serce muzykę, w której góral spod Hargity wyśpiewywał swoje radości i smutki, zagrzewał się do boju o zachowanie węgiersko-transylwańskich tradycji i zwierzał z trosk, gnębiących serce...

*Hej, én édes jó Istenem  
Oltalmazóm, segedelmem  
Vándorlásban reménységem  
Ínségemben lágy kenyerem.*

*Vándorfecske sebes szárnyát  
Vándorlegény vándorbotját  
Vándor székeley reménységét  
Jézus, áldd meg Erdély földjét!*

*Vándorfecske hazatalál  
Édesanyja fészkeére száll  
Hazajöttünk, megáldott a  
Csíksomlyói Szűz Mária.*

\*\*\*

*O mój dobry Boże,  
Mój Stróžu, moja Pomocy,  
Moja Ufności w wędrówce,  
Mój miękki Chlebie w niedoli.*

*Skrzydło błędzącej jaskółki,  
I laskę wędrowca,  
Nadzieję pielgrzymki Szeklera,  
I transylwańską ziemię, błogostaw Jezu!*

*Jaskółka wraca do gniazda,  
Ku matce czulej,  
Wróciliśmy do domu, błogostawieni  
Przez Maryję Dziewicę z Csíksomlyo.*

Takich to właśnie ludzi zebrał pod swoje rozkazy wsławiony pod Ostrołęką „ojczulek”... Z takimi to właśnie ludźmi okrywał się nową bojową chwałą.. I takich zapamiętał cytowany już dwukrotnie wiersz:

*Już „Ostrołęcka gwiazda” lśni  
Na gór Hargickich szlaku.  
I słyhać dawny Czaby głos:  
„Seklerzy, do ataku.”*

I choć ostatecznie pod Szegeszwarem przemógł wróg, to przecież w niecałe dwadzieścia lat później mogli się Szeklerzy cieszyć wolną, węgierską Ojczyzną... I cieszyli się nią przez półwiecze, zanim tyrani z Ententy nie pokazali im sroższego niż habsburskie czy rosyjskie oblicza. Oto bowiem po I wojnie światowej Węgry – równie odpowiedzialne za wybuch Wielkiej Wojny, co Austria, Francja, Niemcy, Rosja i Wielka Brytania – utracić miały... 71,5% swojego terytorium (!!!). Wśród tych terenów znalazł się niemal cały obszar węgierskich Karpat i absolutnie cały Siedmiogród, całe ukochane Erdély... A wraz z nim cała Szeklerszczyzna... Wróciła ona do madziarskiej „Macierzy” w 1940 r., ale kres II wojny światowej przyniósł ostateczny powrót rumuńskiego panowania nad Székelyföld... A przecież znaczenie folkloru dzielnych potomków Czaby w węgierskiej kulturze jest przeogromne, porównywalne z rolą Podhala w kulturze polskiej, o czym świadczyć może – a to ledwie jedna kropla w całym morzu fascynacji – zbiór Pieśni szeklerskie Beli Bartoka...

## O TYM CO ŁĄCZYŁO WALECZNYCH LECHTÓW Z DUMNYMI MADZIARAMI

Nie od rzeczy będzie w tym miejscu przypomnieć o zdumiewającej kulturze rumuńskiej Siedmiogrodu (a zwłaszcza Maramuresz!), która stanowi bez dwóch zdań temat-rzekę. Ale czy – pomimo tego – mogą tak naprawdę istnieć Węgry bez Transylwanii i Szeklerszczyzny? Pewnie – tak jak Polska

bez Wilna i Lwowa – mogą. Ale – a tyczy się to i naszego kraju – cóż to za Węgry?...

Często i nie bez racji podkreśla się polsko-węgierskie podobieństwa i wzajemną sympatię dwóch zupełnie niespokrewnionych ze sobą narodów, które przez tysiąclecie ze sobą sąsiadowały, oddzielone tylko główną granią Karpat, zwieńczoną skalistą koroną Tatr. Oba miały czasy świetności i potęgi, gdy liczone się z nimi w całej Europie, oba doświadczyły też srogiej niewoli i dwukrotnej traumy rozbiorów (Węgry w XVI, Polska w XVIII w., a wreszcie jedno i drugie w XX stuleciu). Oba uważały się za „przedmurze chrześcijaństwa” i gorliwie wypełniały tę misję w zawziętych zmaganiach z Turkami Osmańskimi, jednocześnie oba w pewnych okresach liczyły – bez religijnych uprzedzeń – na wsparcie Istanbulu. Oba niosły zachodnioeuropejską kulturę na wschód, oba też stanowiły na Ukrainie i w Siedmiogrodzie swoisty pomost pomiędzy europejskim Wschodem i Zachodem. Nic zatem dziwnego, że jedno z pięknych madziarskich wyobrażeń mówi o dwóch drzewach, które wyrastały pod Karpatami z jednego korzenia... I nic dziwnego, że w obu – tak przecież niepodobnych – językach ukształtowało się (prawdopodobnie w czasach konfederacji barskiej) to samo przysłowie: Polak, Węgier – dwa bratanki i do szabli, i do szklanki (węg. Lengyel, Magyar két jó barát, együtt harcol, s issza borát).

Bo jeśli wspominamy dzieje polsko-niemieckiego sąsiedztwa, to natychmiast odzywa się w naszych uszach szcęk oręża i obrazy, jakie łączą się w jeden ciąg walk ze wschodnioniemieckimi margrabiemi, samymi cesarzami, Brandenburgią, Krzyżakami, Prusakami, Austriakami, Rzeszą „weimarską” w Wielkopolsce i wreszcie sześćoletnie zmagania o przeżycie z hitlerowskimi Niemcami, przerywane tylko sporadycznymi sojuszami, unią polsko-saską i chlubną autonomią galicyjską. Rzut oka na sąsiedztwo z Rusią przypomina nam o dawnych starciach z Rurykowiczami, permanentnym wojowaniu z naporem Moskwy, Rosji i rosyjskojęzycznego Związku Radzieckiego, brutalnych walkach z Kozakami Zaporoskimi i Ukraińcami, od czego wyjątkami pozostawały czasy polsko-ruskiej sielanki piastowskich ożenków, pokojowe współżycie z Rusinami na terenie wspólnego państwa, braterstwo broni z wczesną Kozaczyzną i sojusz z wolną Ukrainą Szymona (Semena) Petlury, i tak zawsze w końcu topione w morzu krwi. Także dzieje sąsiedztwa z Czechami rozpoczęły niekończące się starcia Piastów z Przemysłidami, a następnie rozwinęły się one w zaborczość Luksemburgów i konflikty z międzywojenną (ale i dwukrotnie z powojenną) Czechosłowacją.

I jedynie tysiącletnia granica polsko-węgierska pozostawała spokojną i niemal zawsze bezpieczną. Jeśli nawet przypomnimy sobie o wypowiedzeniu w 1410 r. Polsce wojny przez Zygmunta I Luksemburskiego (a ostatecznie potężni Węgrzy i tak nie rozpoczęły poważniejszych walk w interesie krzyżackiego sojusznika, ograniczając się tylko do spustoszenia ziemi sądeckiej), o odnawiającym się kilkakrotnie konflikcie z ekscentrycznym Maciejem I Korwinem oraz o rozbiorowych kno-

waniach i groźnym, niszczącym najeździe szwedzkiego sojusznika – Jerzego II Rakoczego z 1657 r., to otrzymamy tylko trzy starcia zbrojne przez całe dziewięćsetlecie wspólnego sąsiedztwa (!), i to dwa z Węgrami jako takimi i jedno z Siedmiogrodem. A z Niemcami, Czechami czy szeroko pojętą Rusią normę trzech konfliktów wyrabialiśmy zwykle w ciągu lat dziewięćdziesięciu, a bywało że i dziewięciu...

Nie rzecz jednak w statystykach, choć tak pokojowe sąsiedztwo istotnie pozostaje niezwykłym. Rzecz w tak licznych kartach historii, jakie ściśle połączyły chimerycznych, lecz walecznych Lechitów z dumnymi Madziarami. Pamiętać więc trzeba o zakarpaccich wyprawach i konkretnym wsparciu Bolesława II Szczodrego, które zapewniły na Węgrzech panowanie kolejnym trzem władcom, Beli I, Gezie I i Władysławowi I Świętemu, wbrew szykującym się do kontroli nad Koroną św. Stefana Niemcom. O realnej pomocy, jakiej doświadczył Władysław Łokietek od potężnego Karola I Roberta kiedy jednoczył Polskę i próbował oprzeć się groźnemu sojuszowi czesko-krzyżackiemu. O panowaniu nad obydwojoma krajami Ludwika I Węgierskiego (w kraju Madziarów słusznie nazywanego Ludwikiem I Wielkim), który w dziejach Magyarszág zapisał najświetniejszą kartę, a od Królestwa Polskiego oderwał Ruś halicko-włodzimierską, ale przecież samym faktem unii Budy i Krakowa oraz powagą swego majestatu zapewnił krajowi Lechitów bezpieczeństwo od zewnętrznych nieprzyjaciół. O Ludwikowej córce, Jadwidze I, która podbiła serca polskich poddanych, reaktywowała krakowską Akademię, jako dziedziczka Andegawenów odzyskała z rąk węgierskich starostów Halicz i Włodzimierz, a swoją krasę złożyła na ołtarzu wielkiego projektu cywilizacyjnego na Wschodzie i interesów polityki polskiej. O drugim wspólnym monarsze – Władysławie III Warneńczyku (na Węgrzech Władysław I), który o ile jako nierozsądny młodzian, porwany nagłym uniesieniem, zaprzepaścił warneńską batalię, o tyle swoim męstwem i dzielnością stworzył piękny mit bohaterski, jednoczący oba narody. O rodzinnych więzach łączących Jagiellonów z Zapolyami. O wielkim synu narodu węgierskiego, władcy Siedmiogrodu Stefanie I Batorym (Báthory István), który jako król Polski nie tylko twardo egzekwował prawo wobec szlacheckich pieniaczy, nie tylko z troską wypominał Sarmatom ich demokratyczny fanatyzm, nie tylko tworzył piechotę wybraniecką (mocno zresztą przereklamowaną), ale i w trzech błyskotliwych kampaniach zmusił do ukorzenia się moskiewskiego najeźdźcę. O zwycięstwach Jana III Sobieskiego, które pozwoliły wyzwolić Budę od osmańskich rządów. O ukrywających się w polsko-litewskiej Rzeczypospolitej powstańcach Franciszka II Rakoczego. O udziale Legionów Polskich i wybitnym wkładzie polskich dowódców – z generałem Bemem na czele – w walkę przeciw austriackim rządóm. O fetowaniu w 1939 r. odrodzenia wspólnej granicy w Bieszczadach, Gorganach i Czarnohorze. O węgierskim regencie i dyktatorze Mikołaju (Miklosu) Horthym, który – z konieczności związany politycznie z Berlinem – stanowczo sprzeciwił się przemarszowi wojsk niemieckich przez terytorium odrodzonego Królestwa w czasie kampanii wrześnio-

wej, przyjmował za to gościnnie polskich żołnierzy z upadającego kraju i umożliwiał im przedostanie się do Francji. Wreszcie, o wsparciu polskiego społeczeństwa dla narodu węgierskiego w czasie antyradzieckiego, wolnościowego puczu z 1956 r.

## ŚWIĘTA KINGA SYMBOLEM POLSKO-WĘGIERSKICH ZWIĄZKÓW

W tym ciągu wzajemnych, pozytywnych powiązań i sentymentów istotne ogniwo tworzy święta Kinga. Córka Beli IV i żona Bolesława V Wstydliwego uchodzić może wręcz za symbol polsko-węgierskich związków i symbol Karpat. Ta, która zagospodarowywała pogranicze obu krajów, która tak mocno wpisała się w legendy i tradycje Pienin oraz ziemi sądeckiej, ta która zainicjowała ponoć wydobywanie soli w Polsce, ta która po śmierci małżonka osiadła w klasztorze w Sączu (obecny Stary Sącz), a stamtąd patronowała najstarszemu (?) przekładowi biblijnych psalmów na język polski (Psałterz świętej Kingi), stała się na zawsze królową Karpat, o której szemrały potoki od Pogórza Wielickiego, przez Kotlinę Sądecką, Beskid Sądecki i Pieniny, aż po wyniosłe stoki wulkanicznej Madarasi Hargity. I tak, jak generał Józef Bem złączył bojowym doświadczeniem Polskę i Szeklerszczyznę, tak ponoć święta Kinga wrzucić miała swój pierścień do solnych szybów w szeklerskim Prajd, odnajdując go później w Wieliczce (wedle innej wersji – w Bochni). W ten sposób polskie związki – nawet jeśli tylko legendarne – z przepiękną krainą mrukowatych węgierskich górąli okazują się dawniejsze i silniejsze. A wielka karpacka święta nie na darmo cieszy się szczególną miłością i oddaniem zarówno pełnych fantazji Górąli Pienińskich, jak i walecznym Szeklerów z Transylwanii...

Odwiedzmy ją zatem, niczym jaskółka z pięknej szeklerskiej pieśni mknąc ku Staremu Sączowi. Zaiste, wielka to rozkosz nawiedzić przepiękną Kotlinę Sądecką, otoczoną dźwigającymi się ponad nią, zalesionymi stokami Beskidu Wyspowego i Beskidu Sądeckiego, z jednej tylko strony otwartą na Pogórze. Zaiste, wielka to rozkosz nawiedzić zany starosądecki gród, ozdobiony malowniczym ryneczkiem, urokliwymi domkami, wieżami zabytkowych kościołów, zatopiony w niezwykłym małomiasteczkowym czarze. Ozdabiają go rzecz jasna również wspaniałe mury klasztoru klarysek, strzegące takich skarbów, jak niesamowite Drzewo Jessego. To tutaj ostatnie lata życia spędziła świątobliwa księżna, polsko-węgierska monarchini, pienińsko-szeklerska Pani. I tutaj też w letni dzień 1999 r. papież Jan Paweł II, wielki syn góralskiego rodu z Beskidów Zachodnich, wyniósł ją do grona świętych, ku radości starosądeczan, licznie przyby-



Nowy herb Starego Sącza

łych Polaków i Węgrów, górąli polskich i siedmiogrodzkich. Po uroczystości pozostały dwie pamiątki: Ołtarz Papieski, pośród schodzących w stronę Popradu pól i... Brama Szeklerska. Wykonali ją spieszący na uroczystość górąle z Gelence, przynosząc na ziemię, gdzie osiadła ich ukochana królowa małą część Székelyföld. Pięknie rzeźbioną bramę ozdabiają godła Węgier, Polski i Watykanu oraz podobizny Kingi i królowej Jadwigi I Andegaweńskiej – innej wielkiej kobiety, którą Madziarzy dali Polsce... Można też przeczytać węgierski napis: Święta Kinga – Matka Narodu i obejrzyć na własne oczy ów fenomen, jaki stanowią tajemnicze znaki rowaszu – najbardziej spektakularny przejaw szeklerskiej odrębności.

Podążając na północny wschód dostaniemy się z Kotliny Sądeckiej na Pogórze Rożnowskie, a następnie ozdobione słynnym Skamieniałym Miastem Pogórze Ciężkowickie, aby ostatecznie dotrzeć do Tarnowa. To tutaj wznosi się kolejna Brama Szeklerska, wybudowana w sto siedemdziesiątą rocznicę bitwy pod Ostrołęką przez mieszkańców Świętego Jerzego obok pomnika Sandora Petöfięgo, poległego u boku „ojczulka” pod Szegeszwarem. To tutaj, w rodzinnym mieście, spoczęły w 1929 r. w pięknym mauzoleum pośród Parku Strzeleckiego prochy generała Józefa Bema vel Murata Paszy, który wiódł ongiś do walki Szeklerów...

*Po dawnych walkach wielki wódz  
W ostatnim już pochodzie  
Do wolnej ziemi wrócić ma:  
Hej, baczność w Siedmiogrodzie!*

Wyruszając z kolei od Starego Sącza w imaginacyjną podróż na południe, dotkniemy ukochanych przez węgierską królowę zalesionych wierchów Beskidu Sądeckiego i strzelistych Pienin, aby stamtąd – osiagając południowo-wschodni kierunek – przemierzyć wspaniałe Karpaty słowackie z Górąmi Lewockimi i Górąmi Słańskimi, musnąć północne obrzeża Wielkiej Niziny Węgierskiej i dolinę Samoszu wtargnąć do otoczonej wyniosłymi pasmami Transylwanii na spotkanie z ukrytą w cieniu Hargity krainą barwnych strojów, urzekającej ceramiki, niezwykłych nagrobków, drewnianych domostw, pieczołowicie rzeźbionych bram, lirycznych pieśni i wspaniałych tańców. Krainy, gdzie niezwykle waleczny i wierny lud fascynuje swoją odrębnością, pełen temperamentu równie wulkanicznego, co ukochane wierzchołki Hargity. A żyje dziś pod obcą władzą, chociaż przez wieki strzegł czujnie rubieży węgierskiej ojczyzny i swojej własnej krainy. Krainy zwanej Szeklerszczyzną...

**BARTŁOMIEJ GRZEGORZ SALA**

Bartłomiej Grzegorz Sala jest historykiem i etnografem. Na swoim koncie ma różne publikacje, m.in. książki: „Legendy zamków karpackich” (fragmenty publikowaliśmy w poprzednich nr Beskidu), „Księga karpackich zbójników” czy „Księga smoków polskich”.

# SEKCJE I KLUBY PTT



KLUB SZALONYCH EMERYTÓW - CMENTARZE I WOJNY ŚWIATOWEJ

FOT. WŁADYSŁAW LOBOZ



KLUB SZALONYCH EMERYTÓW - TRÓJMIASTO I TORUŃ

FOT. WŁADYSŁAW LOBOZ



SEKCJA NARCIARSKA - SZPINDLEROWY MŁYN, 28.1-1.2

FOT. MAŁGORZATA PRZYBYLSKA



SEKCJA ROWEROWA - BESKID ŻYWIECKI, 24-25.6

FOT. MAŁGORZATA PRZYBYLSKA



SEKCJA ROWEROWA - LUBOWLAŃSKA WERCHOWINA: 21-22.10

FOT. MAŁGORZATA PRZYBYLSKA



SZKOLNE KOŁO W ŁABOWEJ - LUBOŃ WIELKI, 20.5

FOT. DOROTA ROLKA



SZKOLNE KOŁO W ŁABOWEJ - WYSOKA, 24.6

FOT. ZBIGNIEW SMAJDOR



SZKOLNY KLUB PTT PRZY SP 18 - RADZIEJOWA, 30.9

FOT. WIESŁAWA GORSKA



# Klub Szalonych Emerytów w akcji Serce-Sercu

W Fundacji Sądeckiej spotkali się przedstawiciele wolontariuszy, Klubu Szalonych Emerytów oraz Kasy Wzajemnej Pomocy. Była to okazja do wymiany doświadczeń z udziału w akcji Serce-Sercu.

**P**rzedsławiać akcja charytatywna Sercu – Sercu organizowana jest przez Fundację Sądecką od 20 lat, a jej celem jest pomoc rodzinom, które z różnych przyczyn, zazwyczaj materialnych, nie mogą godnie przeżyć tego wyjątkowego czasu dla każdego – Świąt Bożego Narodzenia. W tym roku w akcję włączyło się aż 1191 wolontariuszy z 54 szkół. Zbierali oni żywność w 90 sklepach na terenie powiatu sądeckiego, limanowskie-

go i gorlickiego. Dzięki ich pomocy i hojności ludzi udało się zebrać 23 tony produktów. Do osób potrzebujących trafiło aż 1700 paczek, w których były najbardziej potrzebne rzeczy, a więc cukier, makarony, herbata, kawa, mąka i słodycze.

Podobnie jak w poprzednich latach, tak i w tym roku w akcji wzięli udział nasi członkowie z Klubu Szalonych Emerytów. Zajęli się przygotowaniem identyfikatorów dla wolontariuszy oraz segregacją i pakowaniem zebranych produktów: pomagali zwozić towar ze sklepów, sortowali żywność, sporządzali i wydawali gotowe paczki.

Nad całością czuwała kobieta o niespożytej energii i wielkim sercu, czyli Basia Michalik, szefowa KSE.

(MD)

**BESKID** – pismo do użytku wewnętrznego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego Oddziału „Beskid” w Nowym Sączu. [WWW.PTTNS.PL](http://WWW.PTTNS.PL)  
ul. Sobieskiego 14a2 (Biuro „Wakacyjny Raj”), tel. 18 444 29 22.

**Opracowanie:** Maria Dominik, e-mail: mariadominik@op.pl

**Nakład:** 600 egz. **Nr ISSN:** 1426-6776.

**Skład i druk:** IPRESS STUDIO, ul. Marcinkowicka 7a, 33-395 Chęlmec, tel 18 444 25 70, [www.ipress.pro](http://www.ipress.pro)